JERZY ŻUŁAWSKI

STARA ZIEMIA

Jerzy Żuławski
Stara Ziemia

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23553362
Stara Ziemia: Fundacja Nowoczesna Polska;

Аннотация

Podczas gdy na Księżycu trwają konfrontacje z szernami, na Ziemię dociera dwóch Selenitów, którzy nie wierzyli w to, że uznany za Zbawiciela Marek przybył z mitycznej planety.Wydaje się, że Ziemia przełomu XXIX i XXX wieku to idealne miejsce do życia – nie ma głodu, wojny, ludzkość jest bogata i ułatwia sobie życie, korzystając na co dzień z różnych wynalazków. Wciąż jednak istnieje wyraźny podział na bogatych i biednych, burżuazja wyzyskuje niższe klasy. Ponadto odbywa się polityczna gra o broń masowej zagłady wynalezioną przez Jacka, głównego bohatera.Stara Ziemia to trzecia część Trylogii Księżycowej Jerzego Żuławskiego, wydana po raz pierwszy w 1911 roku. Uznawana jest niekiedy za krytykę socjalistycznej wizji świata. Żuławski sceptycznie podchodzi do utopijnej wizji świata, do fantastycznych programów naprawczych, pokazując jednocześnie zagrożenia, które zanikają gdzieś w zachwycie nad postępem.

Содержание

Część pierwsza 4
I 4
II 15
III 32
IV 46
V 60
VI 70
VII 88
Конец ознакомительного фрагмента. 93

Jerzy Żuławski
Stara Ziemia

Część pierwsza

I

Nie umieli sobie zgoła określić czasu, który upływał. Godziny długie mijały, nieznaczone na żadnym zegarze – pocisk, pędząc w międzygwiezdnej przestrzeni, wpadał z otchłani światła słonecznego w rzucony na bezmiar cień Ziemi, a wtedy nagła noc i mróz obejmowały zamkniętych w stalowej łupinie mimowolnych podróżników… I znowu w czasie krótszym niż jedno mgnienie oka, bez przejścia żadnego – zupełnie niespodziewanie, kiedy marzli już z zimna, strachem bezgranicznej i na pozór wiecznej nocy obłąkani – wpadali znów w światło, które ślepiło[1] im źrenice i rozgrzewało wkrótce do żaru niemal ściany ich wozu.

Ruchu nie odczuwali zgoła. Księżyc tylko malał za nimi i świecąc coraz żywiej, stawał się z wolna podobnym do tej gwiazdy zmiennej, co ziemskie noce rozjaśnia. Widzieli,

---

[1] *ślepić* – dziś raczej: oślepiać. [przypis edytorski]

jak cień go z wolna z jednej strony zakrywał i wrzynał się poszczerbionym półkolem w po raz pierwszy oczom ich pokazaną Wielką *Pustynię*… Ziemia natomiast rosła na czarnym, gwiazd pełnym niebie, i wydymała się do potwornych rozmiarów. Blask jej srebrny i mocny bladł, rzednął niejako – kiedy sierpem olbrzymim już połowę niebieskiej otchłani zajęła, wydawała się, jak gdyby zrobiona była z opalu, przez którego mleczną barwę przebijały różne kolory mórz, łanów, piasków. Śniegi jeno gdzieniegdzie błyszczały nieodmiennie światłem srebrzystym, rażącym wprost oczy, na tle aksamitnej czarności nieba.

I tak – nieruchomi na pozór, gnali przez przestrzeń między dwoma jasnymi sierpami: Ziemi i Księżyca, z których jeden – wklęsły – zwiększał się pod nimi nieustannie, drugi – wydęty – malał coraz bardziej w górze.

Uczony Roda nie odzywał się prawie przez cały ciąg tej niepojętej podróży. Wciśnięty w kąt wozu, siedział osowiały, jakby martwy – policzki mu pożółkły jeszcze więcej niż zwykle, oczy, szeroko rozwarte, przerażone, zapadły gdzieś w głąb orbit pod nastroszonymi brwiami. Mataret natomiast krzątał się i gospodarzył w tym tak nieszczęśliwie owładniętym wozie Zwycięzcy. Znalazł wodę i różne zapasy wyciągów, którymi się żywił, zmuszając i towarzysza, ażeby wziął nieco w usta.

Roda jadł niechętnie, spoglądając z lękiem a nienawiścią na rosnącą wciąż Ziemię. W głowie jego kłębił się wir myśli, które na próżno starał się uporządkować. Wszystko mu się

teraz wydało dziwnym, niepojętym i szalonym. Myślał wciąż od początku o tym, co zaszło – i gubił się ciągle w jakimś chaosie rzeczy sprzecznych i idących na wspak temu, w co dotąd wierzył jako w prawdę oczywistą i niewątpliwą.

Bo też istotnie było w tym dziwne i aż śmieszne nieprawdopodobieństwo… Urodził się i wyrósł na Księżycu wśród ludu przechowującego podanie, iż przed wiekami pierwsza para rodziców pod przewodnictwem legendarnego Starego Człowieka z Ziemi na Księżyc przybyła, dając tu początek nowym pokoleniom. I podanie mówiło jeszcze, że kiedy ludzkość, przez straszliwych księżycowych pierwobylców[2], potwornych szernów, nękana, w największym się znajdzie pognębieniu, zjawi się znów z Ziemi na Księżyc przybyły Zwycięzca, aby lud z ręki wroga wybawić. Karmiono go tymi baśniami od dziecka, ale on, zaledwie lat rozumu doszedł, rychło przestał im wierzyć. Owszem, przekonany był, że Księżyc jest odwieczną ludzi kolebką, a Ziemia lśniącą gwiazdą olbrzymią jedynie, co świeci nad martwą i pustynną, powietrza nieposiadającą półkulą Księżyca, martwa sama i pusta, wszelkiego życia na błyszczącej powierzchni swej pozbawiona.

Wierzył tak niewątpliwie w tę prawdę przez siebie odkrytą, którą jeno kapłani dla samolubnych celów chcą zakryć złotymi bajkami o ziemskim rzekomo ludzi pochodzeniu, iż stał się nawet założycielem bractwa mającego na celu rozpowszechniać i rozwijać to przekonanie. I właśnie kiedy zawiązane przezeń

---

[2] *pierwobylec* – pierwotny mieszkaniec; por. *tubylec*. [przypis edytorski]

Bractwo Prawdy zaczęło rość[3] w moc i znaczenie, coraz liczniejszych gromadząc zwolenników, przybywa na Księżyc człowiek tajemniczy a olbrzymi, którego lud rychło z Ziemi oczekiwanym Zwycięzcą mianuje.

Tutaj nasuwały się Rodzie wspomnienia wszystkich walk jego i wysiłków krwawych w obronie Prawdy ze wzrastającą dziwnego przybysza przewagą…

Nie wątpił on ani na chwilę, że nie z Ziemi spadł ów człowiek ogromny, ale przybył po prostu w wozie swym latającym z tamtej strony Księżyca, pustynnej rzekomo, a w istocie kryjącej w głębokich, jak gdyby obronnych jarach kraj rozkoszny i żyzny, pierwotną ludzi ojczyznę, zazdrośnie przez żyjące tam szczęsne plemię przed wygnańcami ukrywaną.

Postanowiono tedy zagarnąć wóz Zwycięzcy, zajętego walką z szernami za morzem, i zmusić go w ten sposób do wyjawienia drogi do tajemnego wnętrza dawnej ojczyzny. Wóz ogarnięto istotnie i on – Roda – byłby z pewnością dopiął swojego celu podniosłego, dał wydziedziczonym raj utracony z powrotem, gdyby nie ten przeklęty Mataret o łysej czaszce, co razem z nim teraz, w metalowej łupinie zamknięty, pędzi przez otchłanie międzygwiezdnej przestrzeni i patrzy nań drwiąco wyłupiastymi oczyma.

Wiedział przecież dobrze – bo Roda zdołał to od Zwycięzcy wyciągnąć i jemu powiedział, że wóz jest gotowy do drogi, a mimo to, gdy weszli do wnętrza, pewni już tryumfu nad

---

[3] *rość* – dziś: rosnąć. [przypis edytorski]

znienawidzonym przybyszem, pocisnął[4] przez nieostrożność czy też umyślnie guzik fatalny – i oto Księżyc rodzimy tak śmiesznie zniknął pod ich nogami, jak gdyby w otchłań się zapadł, i lecą teraz obaj w przestwór, bezradni, uwięzieni, niewiedzący[5] losu najbliższej chwili nawet.

Wściekłość go ogarniała tak szalona i wstyd, i rozpacz zarazem, iż wyć miał ochotę w bezsilnym gniewie i ręce targać zębami. Krępował go jednak w tych wybuchach wzrok Matareta spokojny i – jak mu się zdawało – drwiący. Zaszywał się więc tylko, on – uczony i przez zwolenników na Księżycu uwielbiany Roda – jak leśne zwierzę schwytane, w najskrytszy kąt wozu i przeżywał bez ustanku wstyd i nękające go myśli, nie mogąc dojść zresztą do żadnego rozumnego wyniku.

I teraz, kiedy siedział zadumany po raz tysiączny może nad tym położeniem swoim bez wyjścia, Mataret zbliżył się ku niemu i wskazał ręką na okno w posadzce, poza którym Ziemia rosła z przerażającą szybkością pod ich nogami.

– Spadamy na Ziemię! – rzekł.

Rodzie wydało się, że szyderstwo w jego głosie posłyszał, szyderstwo w treści tych prostych i krótkich słów, z jego uczoności, wiedzy, powagi, ze wszystkich jego nauk i teorii, wedle których ów rzekomy Zwycięzca nic nie miał z Ziemią wspólnego, i krew mu nagle uderzyła do głowy.

Było mu w tej chwili już zgoła obojętne, co się z nim

---

[4] *pocisnąć* – dziś: przycisnąć. [przypis edytorski]

[5] *niewiedzący* – dziś raczej: nieznający. [przypis edytorski]

stanie za godzinę czy dwie, byłby nawet chętnie dał życie w tym okamgnieniu, byle tylko znienawidzonego nagle towarzysza zawstydzić i upokorzyć.

– Naturalnie, ty głupcze! – zakrzyknął. – Naturalnie, że spadamy na Ziemię.

Mataret tym razem uśmiechnął się istotnie.

– Naturalnie, powiadasz, mistrzu, a więc…

– A więc bałwan jesteś – ryczał Roda, niezdolny już dłużej panować nad sobą. – Bałwan, jeśli nie rozumiesz, że w tym wszystkim jest podstęp owego przeklętego przybysza!

– Podstęp!?

– Tak jest! A tylko człowiek tak ograniczony i nieprzenikliwy jak ty mógł się nań złapać… Gdybyś mnie był posłuchał…

– Nic nie mówiłeś, mistrzu!

Ten ostatni wyraz wymówił Mataret z pewnym naciskiem, mimowolnym może…

– Owszem, mówiłem ci, abyś nie dotykał guzika. Czy ty myślisz, że ów Zwycięzca był głupi na tyle, aby pozostawić wóz gotowy do drogi, który za najlżejszym naciśnięciem przeklętej sprężyny powiezie byle durnia w kraj, skąd on przybył, w szczęśliwe miasta na tamtej stronie Księżyca? To śmieszne doprawdy! Przecież on widocznie naumyślnie wóz tak nastawił, aby nieproszonych natrętów wyrzucić na Ziemię.

– Sądzisz? – szepnął Mataret, nie mogąc odmówić pewnego prawdopodobieństwa temu przypuszczeniu.

– Sądzę, myślę, wiem! Pozbył się najniebezpieczniejszego

przeciwnika, mnie się pozbył przez twoją głupotę. On w jakikolwiek inny sposób, gdy zechce, do ojczyzny swej się dostanie, a my jesteśmy zgubieni bez ratunku. Pędzimy przecie, jak dwa robaki w rzuconym z ręki orzechu bez woli, bez sensu, bez celu i spadniemy wcześniej czy później na Ziemię, gwiazdę przeklętą, pustą i niezamieszkaną, gdzie zemrzeć nam przyjdzie marnie i rychło, nawet gdybyśmy w chwili strasznego upadku ocaleli. Och, jakże on się teraz śmiać z nas musi, jak szydzić!

Na to przypomnienie szał wściekłości go ogarnął. Wyciągnął pięści ku uciekającemu nad nimi Księżycowi i począł kląć grubymi, ludowymi wyrazami tego zwycięskiego przybysza, odgrażając mu się tak, jak gdyby go mógł jeszcze ujrzeć kiedy i pognębić.

Mataret nie słuchał już tych krzyków. Zamyślił się, a po chwili rzekł:

– Jesteś więc pewny ciągle, że Ziemia jest niezamieszkana i niemożliwa do życia dla żadnej istoty?

Roda patrzył przez chwilę w twarz towarzyszowi, własnym uszom nie wierząc, że taka bluźniercza wątpliwość z ust jego wyjść mogła, a potem roześmiał się gorzko.

– Czy jestem pewien! Patrz!

Mówiąc to, wskazał z kolei okno znajdujące się u ich stóp. Rzuceni w przestrzeń siłą wybuchu ściśnionych[6] gazów i – wobec szybkości obrotu Ziemi wolnym względnie postępowym ruchem Księżyca, zakreślając olbrzymią parabolę, coraz więcej

---

[6] *ściśniony* – dziś: ściśnięty. [przypis edytorski]

do linii prostej się zbliżającą, spadali na Ziemię, która wirowała z zachodu na wschód przed ich oczyma, coraz nowe morza i lądy im pokazując. Byli jeszcze daleko w przestrzeni – i ruch ten, nieznaczny zrazu, i teraz jeszcze dość wolnym im się pozornie wydawał. Jednak lądy jakieś niedawno jeszcze widziane, zniknęły im już, za rąbek widnokręgu nachylone; przelatywali właśnie ponad Oceanem Indyjskim, zajmującym niemal cały krąg ich widzenia aż po łukowatą linię cienia na zachodzie, którą noc uciekająca wrzynała się w jasny sierp dnia na Ziemi…

Mataret, dążąc oczyma za ruchem ręki mistrza, wpatrzył się w tę beznadziejnie pustą, srebrzystosiną powierzchnię. Zwykły uśmiech zginął mu na mięsistych wargach, wysokie czoło pokryło się siecią drobnych zmarszczek pionowych. Patrzył długo, aż wreszcie zwrócił na Rodę oczy posępne, choć spokojne.

– Zginiemy istotnie – rzekł krótko.

A z mistrzem Rodą stało się coś dziwnego. Zapomniał doszczętnie, że ten wyraz „zginiemy” – oznacza śmierć, nieuchronną śmierć dla nich obu, a uczuł tylko radosny tryumf, że on jednak miał słuszność, nazywając Ziemię gwiazdą niegościnną i pustą. Oczy mu się zaśmiały i począł potrząsać zwichrzoną czupryną dużej głowy, rzucając z ust zdania głośne, jak wtedy, gdy pewien siebie bezwzględnie nauczał jeszcze rzeszę zwolenników na Księżycu.

– Tak, tak – mówił – zginiemy! Ja miałem słuszność i trzeba być głupcem takim jak ty, aby na chwilę bodaj

przypuszczać, że ta gwiazda pyzata i świecąca, co się przed nami teraz jak szczenna suka wydyma, może być siedliskiem życia jakiegokolwiek! Cieszę się, że się przekonasz nareszcie, że się wy wszyscy przekonacie, iż to, co ja mówiłem zawsze…

– Wszyscy się nie przekonają – wtrącił Mataret, ruszając ramionami. – My pomrzemy…

Urwał i spojrzał na towarzysza, w którym pod wpływem słów powtórzonych zbudziła się nagle okropna świadomość beznadziejnego położenia. Zerwał się i zapieniony z gniewu przyskoczył do Matareta z zaciśniętymi pięściami, bełkocąc wyzwiska i obelgi.

– Ty głupcze, coś ty narobił! – powtarzał w koło bez końca, aż wreszcie schwycił się rękami za głowę i rzucając się na podłogę, począł jęczeć i zawodzić, a przeklinać dzień i godzinę, w której przyjął był jego, szaleńca i półgłówka, do wielce czcigodnego Bractwa Prawdy, co teraz osierocone przez mistrza swego zostało samo na Księżycu.

Przez chwilę jakąś patrzył Mataret na wijącego się w spazmatycznym, niemęskim płaczu nauczyciela, ale nie mogąc snadź[7] znaleźć słowa żadnego, aby go uspokoić, skrzywił jeno wargi i odwrócił się odeń pogardliwie.

Czas mu się dłużył nieskończenie. Nie miał co robić – a zresztą nie było w ogóle nic do zrobienia. Pędzili ku Ziemi, a raczej spadali na nią z szybkością, z której Mataret nie umiał sobie zdać sprawy. Miał ochotę spojrzeć przez okno – i jakiś

---

[7] *snadź* (daw.) – widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

mimowolny strach go od tego powstrzymywał. Założył ręce na plecach i jął się przyglądać ścianom wozu bez myśli, bez czucia – z tą tylko chłodną a uporczywą świadomością, że wkrótce, może już za chwil parę, nastąpi coś potwornego, czemu zapobiec nikt nie jest w możności.

Bliskość Ziemi dawała się już odczuwać wzrostem siły przyciągania objawiającej się w powiększonym ciężarze wszystkich przedmiotów. Mataret, o karlim wzroście i drobnych siłach zwyrodniałego na Księżycu ludzkiego plemienia, czuł, jak z każdą chwilą własne członki coraz bardziej ciążyć mu zaczynają; poruszanie przedmiotów, które na Księżycu – sześć razy lżejsze – wznosił ręką bez natężenia, teraz przechodziło już zakres jego sił: zdawało mu się, że niewidzialne druty jakieś wiążą wszystko i spajają w jedną nierozerwalną masę, dążącą jeno fatalnością swej wagi ku straszliwej Ziemi. Jeszcze chwil kilka – a uginać się począł pod własnym ciężarem. Ręce obwisły mu bezwładnie, kolana drżały pod naporem ciała.

Osunął się na podłogę tuż obok okrągłego okna – i spojrzał w dół…

To, co zobaczył, było tak straszne po prostu, że tylko niepokonana ociężałość powstrzymała go od rzucenia się w tył za pierwszym widokiem. Ziemia powiększała się teraz przed jego oczyma z niepojętą, nieprawdopodobną szybkością – a równocześnie miał wrażenie wiru, który go o zawrót głowy i mdłości przyprawiał.

Przed pociskiem, z nieznaczną względnie chyżością

postępowym ruchem Księżyca z zachodu na wschód pchniętym, wirowała teraz bliska już powierzchnia ziemska w zawrotnym pędzie czterystu kilkudziesięciu metrów na sekundę, a w każdym mgnieniu oka, w miarę jak spadający pocisk się zbliżał, pęd ów potworny wzrastał pozornie, tak że za chwil parę to, co Mataret miał przed oczyma, nie było już zgoła podobne do żadnej rzeczy stałej, wydając się jeno burzą jakichś przelatujących pod nimi zarysów.

Horyzont cały wypełniała ta oszalała tarcza, w którą – wobec zwiększonego kąta widzenia z pobliża – zamienił się błyszczący do niedawna sierp pod ich nogami. Ocean nachylił się już za ograniczony nagle widnokrąg – lądy jakieś migały w dole, których okiem niepodobna było chwycić, i naraz – jak gdyby ich orkan[8] kosmiczny porwał! Wpadli w wirującą atmosferę ziemską – pocisk, dotąd nieruchomy na pozór, zakołysał się nagle i zwinął – pod wpływem nacisku powietrza jakieś skrzydła ochronne automatycznie z boków jego się rozwinęły i prysły w tejże chwili… Mataret uczuł już tylko żar rozgrzanych momentalnie przez tarcie atmosfery ścian wozu – i przestrach nieludzki: chciał krzyknąć…

Nagła noc go ogarnęła.

---

[8] *orkan* – silny wiatr. [przypis edytorski]

II

„Niesłychane, nieprawdopodobne wynalazki i odkrycia upływającego stulecia stawiają nas wobec problematu, który dumą, lecz zarazem i strachem przejąć musi człowieka. Pędzimy w postęp krokiem tak chyżym, że straciliśmy już wszelką miarę szybkości tego dążenia naprzód; nic nam już się nie wydaje nieprawdopodobnym, nic niesłychanym. Dla jednych dlatego, że wiedzą tak wiele i takie skryte tajniki bytu poznali, że rozumieją każdą rzecz nowo się pojawiającą jako naturalny i konieczny wynik tego, co jest, jako tylko jedno z urzeczywistniających się kolejno w ludzkim mózgu zastosowań odwiecznych i niezmiennych sił przyrody…

A dla innych nie ma również nic dziwnego przez to po prostu, że nie wiedzą nic i o niczym już wiedzieć nie chcą, spodziewając się tylko z nałogu każdego dnia nowej rzeczy cudownej, której nie rozumieją, ale z góry za prostą uważają, tak jak cudo największe, mózgiem ludzkim dotąd nieprześcignione: rozwój organizmów, powstanie gwiazd i sam fakt bytu w ogóle, czemu się nigdy nikt z wyjątkiem najmędrszych nie dziwił.

Nie wiadomo dokąd zajdziemy, ale to pewne, że bardzo wysoko – aż po kres ludzkiej możności, jeśli ten istnieje w ogóle. Są bowiem ludzie, którzy twierdzą, że uświadamianie sobie sił przyrody i wielorakiego ich zastosowania do potrzeb człowieka nie jest niczym innym, jak stwarzaniem ich w nowej formie w

duchu ludzkim – a stwarzanie końca nie ma i mieć nie może, dopóki są pierwiastki dające się łączyć i wiązać z sobą.

W każdym razie jednak nie ulega wątpliwości, że za lat kilkadziesiąt lub kilkaset może zdobędzie ludzkość taką doskonałą władzę nad przyrodą, że to, co dzisiaj możemy, niczym się wyda po prostu przyszłym pokoleniom.

Duma to myśleć o tym rozwoju, ale – jak powiedziałem – i strach zarazem. Są dziwne sprzeczności w umysłowym bytowaniu człowieka, konieczne, nieuchronne, a w skutkach fatalne. Któż za lat kilkaset – a cóż dopiero parę tysięcy – zdolny będzie objąć umysłem ludzkim całokształt wiedzy ludzkim umysłem zdobytej? Czy ta potęga ducha wzrastająca nie będzie musiała przesilić się wreszcie w jakiś sposób niespodziewany a straszliwy?

Niegdyś – przed wiekami – postęp szedł krokiem bardziej równomiernym i między najuczeńszym człowiekiem a chłopem na wpół dzikim nie było nawet w przybliżeniu podobnej różnicy duchowego poziomu, jaki dzisiaj zachodzi między przodownikami a tłumem, z wynalazków ich i odkryć bez troski powszechnie korzystającym i kulturalnym na pozór.

Cezar rzymski, mieszkający w marmurowych pałacach w zbytku i wyuzdaniu, mimo wszystko mało się różnił wiedzą – choć nawet dumał nad Platonem – od parobka brudnego, gryzącego kawał cebuli w cieniu filarów amfiteatru, chroniących go od południowego żaru. Dzisiaj mój szewc żyje tak samo jak ja, owszem – w większy może dostatek opływa, korzysta ze

wszystkich urządzeń i udoskonaleń wraz ze mną, z tej samej opieki prawa i z ustaw tych samych, osobie jego społeczną wartość nadających – a tymczasem on nie wie nic, a ja wiem wszystko…

Coraz cięższy to trud wiedzieć wszystko lub wiele bodaj – i brzemię dla coraz szczuplejszej garstki wybranych do podjęcia możliwe. Niesiemy oświatę dla wszystkich, uczymy lud wszystkiego, ale czymże może być to „wszystko” wobec ogromu wiedzy niepodobnej już prawie dziś do ogarnięcia ludzkim umysłem i pamięcią? Poza wiedzącymi naprawdę, którzy są jedynymi zaiste twórcami wiedzy, sztuki i bytu – a niezgłębioną przepaścią od reszty ludzi mimowolnie są oddzieleni: dwa typy się formują, a nie wiadomo który z nich gorszy. Jedni – to powierzchnia, ludzie znający tytuły dzieł i nazwy wynalazków, którzy mówią radzi o wszystkim i za mądrych się częstokroć, a nawet przeważnie, uważają, a nie wiedzą nic – i drudzy, jednej poświęceni gałęzi i w jednym pracujący kierunku, którzy odrzucają z ciasną wzgardą wszystko inne, do ich zakresu nienależące, jakby to było niczym. Ci uważają się również za mądrych, a w istocie także nie wiedzą nic.

Na razie tworzą oni wiele i długo jeszcze tworzyć będą zapewne. Ale nie zawsze. Bo oto poczyna się już czas, że coraz ciaśniej im jest w ich studniach wąskich, ze zbytnią ufnością w głąb wierconych – i coraz bardziej brak powietrza dla oddechu.

Zbliżają się z wolna do serca bytu, gdzie wszelkie żyły się łączą, a kto nie zna ich wszystkich, gubi się w sieci niepojętej,

niezdolny już posunąć się dalej, chyba po omacku. Więc na powierzchnię wychodzą, gubią się w powierzchni.

I tak coraz mniejsza drużyna wszystkowiedzących przodowników dźwiga postęp i los ludzkości na uginających się barkach – a jeśli ich zabraknie? Jeśli i ich siły nadludzkie ogromowi brzemienia nie podołają?”.

Jacek odrzucił książkę. Białą, wąską ręką przetarł wysokie czoło i uśmiechnął się blado bezkrwistymi ustami; czarno płonące oczy jego powlokła jakaś mgła zamyślenia…

Tak oto pisano już z końcem dwudziestego wieku, a ileż to stuleci przeszło od tego czasu! Po okresie niesłychanych, nieprawdopodobnych wynalazków, gdzie jedno odkrycie rodziło dziesięć nowych i zdawało się istotnie, że ludzkość jest na drodze jakiegoś bajecznego rozwoju bez końca, który aż przeraża swoją wielkością – nastąpił zastój nagły, jak gdyby siły przyrody tajemne, mogące służyć człowiekowi, wyczerpały się wreszcie w swych kombinacjach i wszystkie już do tryumfalnego rydwanu ludzkiego dobrobytu wprzęgnięte, nie miały nic więcej do odsłonięcia. Nadszedł okres wyzyskiwania i zastosowywania coraz wszechstronniejszego tych zdobyczy ludzkiej myśli, która na pozór osiągnęła już wiedzę najgłębszą.

A tymczasem owi wiedzący, owi rzeczywiście coraz bardziej nieliczni wszystkowiedzący, przekonywali się z każdym dniem bardziej i dosadniej, że naprawdę nie wiedzą nic, tak jak ongi – na początku – kiedy duch człowieczy dopiero do lotu się zrywał.

W tymże samym czasie, kiedy szereg wynalazków, nim

przerwał się nagle, zdawał się wzrastać z zawrotną jakąś szybkością, krokiem coraz większym, wiedza, prawdziwa wiedza o tym, co jest, na odwrót coraz wolniej posuwać się poczęła. Było to tak, jak gdyby do sumy wiadomości już zdobytej wiek po wieku przydawał ciągle tylko połowę tej reszty, która pozostawała każdego czasu jeszcze do zdobycia, ukazując w dali coraz wyraźniejszą granicę możliwości, nigdy nieosiągniętą: można się do niej zbliżać, zbliżać się coraz wolniej, ale zawsze pozostanie jakaś połowa tego, czego się nie wie jeszcze, w cieniu tajemnicy – i w końcu uderza się głową o te same nierozwiązalne zagadki, przed którymi już greccy mędrcy z zadumą stawali.

Czym jest w najgłębszej istocie to, co jest, i dlaczego jest w ogóle? Czym jest myśl ludzka i sam duch poznający? Jakie są nici, łączące umysł ludzki ze światem, i na jakich drogach i w jaki sposób byt się w świadomość przeradza? I wreszcie – co z chwilą śmierci się dzieje?

Lekki uśmiech wydął piękne, kobiece niemal usta Jacka.

Ach, tak! Był czas – właśnie kiedy pisano książkę oną, przed chwilą rzuconą – że ludzie, nie mogąc sobie dać rady z tymi pytaniami, usiłowali je odrzucić po prostu, odmawiając im wszelkiego znaczenia, nawet sensu. Wówczas – kiedy to człowiekowi, postępem wiedzy oszołomionemu, zdawało się, że takie tylko zagadnienia treść mają rzeczywistą, na które można odpowiedzieć albo co do których jest ta pewność lub nadzieja przynajmniej, że się na nie wcześniej czy później odpowiedzieć musi… A nad wszystkim innym, jako nad „metafizyką”,

wzruszano ramionami.

A ta „metafizyka” powraca tymczasem i staje wciąż przed człowiekiem z niezmiennie zakrytą twarzą, i dręczy go – bo w istocie, dopóki się nie wie tego, nie wie się nic właściwie…!

I jak przed wiekami, przed dawnymi wiekami, tak wstają i dzisiaj prorocy i niosą Objawienie, mające ludziom, chcącym i zdolnym wierzyć, uprościć wszelkie myślenie i serce uspokoić, i na pytania wszelkie odpowiedź dać ostateczną. Religie są, jako były zawsze, mimo że im tyle razy zachód i zgubę przepowiadano – silniejsze dzisiaj może niż kiedykolwiek, jeno że zmienił się ich zakres i znaczenie. Tłumy przestają wierzyć i bóstwa szukać za błękitami, te tłumy olśnione wiedzą, której nie rozumieją, zaślepione blaskiem skarbów przez najwyższe duchy zdobytych, z których korzystają, zgoła myśli do ich nagromadzenia nie przyłożywszy.

Ale za to ci najmędrsi, ci, którzy niegdyś w czasie nadmiernej w siły swe ufności pierwsi religię jako „zabobon”, jako rzecz zbyteczną i ciemną rozbijać poczęli, teraz chronią się pod jej skrzydła – jeden po drugim – z lękiem jakimś w oczach, co zbyt blisko w nierozwiązywalne tajemnice patrzyły, i z pragnieniem ukoju[9] w wysilonych mądrością sercach.

A obok tego wszystkiego – po staremu gdzieś z gór niebotycznych, gdzieś z głębi lasów, w Azji jeszcze ukrytych, idą ludzie dziwni, tajników przyrody w szczegółach niebadający, a mający nad nią moc prawie kuglarską, z której nie korzystają,

---

[9] *ukoju* – D.lp; dziś: ukojenia. [przypis edytorski]

nie potrzebując niczego, i w wielkim spokoju ducha z uśmiechem zagadkowym na ustach patrzą z politowaniem na tych „wszystkowiedzących”, co nicość wiedzy swej odkryli…

Bezwiednie nożem z kości słoniowej, w białej ręce trzymanym, począł przewracać kartki leżącej przed nim książki… W ciszy pokoju, odgrodzonego drzwiami nieprzepuszczającymi głosu od świata, słychać było tylko szelest pożółkłego papieru i tykotanie zegara elektrycznego, któremu wtórował w kącie gdzieś robak, stare meble drewniane toczący.

Oto on – Jacek – jest jednym z tych niewielu „wszystkowiedzących”… Nie wie nawet doprawdy, kiedy i jakim cudem zdołał objąć ten ogrom duchowego dobytku z dziesiątek stuleci, a nadto zapytuje się sam czasem: „Po co ten cały nieludzki wysiłek?”. Rozwarła mu niby przyroda wszystkie tajniki swoje i słucha go jak pana, ale on wie aż nadto dobrze, iż jest to tylko złudzenie, nawet nie jego własne, ale tych jeno, co nań patrzą i dziwują się jego mądrości a potędze.

On sam wie, że rozkazuje światu tak śmiesznie, jak ów wódz Irokezów, dawno wygubionych i zapomnianych, co stawał przed każdym świtem na wzgórzu i wskazując ręką na wschód, kazał słońcu wzejść tamtędy i palcem mu drogę aż na zachód przez niebo dla dziennego biegu wytykał. A słońce go słuchało. Zapewne – poznać rzeczy, to znaczy mieć władzę nad nimi, bo się wie, jak im rozkazywać, a jednak ta cała władza jego, której ludzkość tyle błogosławionych a cudownych zawdzięcza wynalazków, jako moc osobista niewarta jest jednego spojrzenia

tego przed tygodniem spotkanego Azjaty, co przed nim czarę pełną wody wolą tylko i oczyma wywrócił, nie znając nawet sposobu, w jaki to czyni, i nie przynosząc nikomu tym śmiesznym czynem korzyści…

A zresztą – czyż on wiele więcej wie od tego cudotwórcy o tym, co czyni sam, i o istocie sił, którym słuchać się każe – z mniejszym nawet woli wysiłkiem, bo tylko przez poznanie sposobu ich działania? Oto trzeci rok upływa, jak, nie wychodząc z tej izby, nakreślił dla przyjaciela swego, Marka, plan wozu, którym by się mógł dostać na Księżyc, i wozowi drogę nieuchronną jak obieg gwiazd wytknął przez przestworza, a potem przy tym stole siedząc, z miejsca się nawet nie ruszywszy, przez pociśnięcie guzika wóz z zamkniętym wewnątrz podróżnikiem we właściwej cząstce sekundy wyrzucił w przestrzeń – i jest pewien bezwzględnie, że w obliczonym z góry momencie i w miejscu oznaczonym spadł bez szkody na powierzchnię starego towarzysza Ziemi; a w rzeczywistości cóż on wie o ruchu samym, który tutaj z taką ścisłością sprawił i zastosował?

Czyż nie jest pod tym względem mniej więcej w tym samym miejscu, co ów przed wiekami Zenon Eleata, usiłujący w naiwnych przykładach wykazać w samym pojęciu ruchu sprzeczność, jaka go uderzyła? Eleata twierdził, że Achilles żółwia nie dogoni, gdyż w czasie, który zużyje na przebycie dzielącej ich przestrzeni, żółw zawsze nieco naprzód się posunie… A on – po kilkudziesięciu wiekach wie nadto, że to,

co się porusza, stoi zarazem, a to, co stoi, porusza się, bo ruch wszelki i spoczynek są względne – i gorzej jeszcze, że ruch, ta rzeczywistość jedyna a nieuchwytna, jest zmianą położenia w przestrzeni, która jest rzeczą zgoła nierzeczywistą…

Wstał i aby przerwać tok gnębiących go myśli, zbliżył się ku oknu. Lekkim dotknięciem umieszczonego w ścianie guzika rozsunął firanki i kazał się lśniącym szybom roztworzyć. Do pokoju, oświetlonego bez lamp przebiegającymi pod stropem smugami jasności, wlał się pełną falą srebrzysty blask Księżyca. Jacek nieznacznym znowu ruchem dłoni zgasił sztuczne światła i zapatrzył się w Księżyc, właśnie pełni dochodzący.

Myślał o Marku, o tym dzielnym człowieku jakby nie z tego stulecia, bujnym, wesołym, skorym do czynu… Dalecy krewni, wychowali się razem, ale jakże innymi drogami poszło ich życie! Podczas gdy on wiedzę gromadził gorączkowo, z zapamiętałością jakąś, której sam w tej chwili nie rozumie, tamten szalał i działał, szukał przygód niesłychanych, rzucał się z miłostek w wir życia publicznego, brał udział w wielkich zgromadzeniach ludowych i bronił różnych spraw jemu, Jackowi, zgoła obojętnych, aby znowu niespodziewanie zniknąć na pewien czas z widowni, po prostu dla fantazji wdarcia się na jakiś niedostępny szczyt himalajski lub dla spędzenia paru tygodni w miłosnym oszołomieniu.

I oto ten szaleniec serdecznie ukochany, który wszystko przez różowe szkło widział, przyszedł doń dnia pewnego z oświadczeniem, że – ni mniej, ni więcej – tylko zrobić chce

wycieczkę na Księżyc.

– Ja wiem, że ty wszystko umiesz i możesz, Jacku – prosił jak dziecko – zbuduj mi tedy wóz, którym mógłbym tam pojechać i wrócić!

Jacek zaśmiał się: „ach, wszystko!…”. Ale tę drobnostkę bez wątpienia zrobić potrafi – wdzięczny jest owszem Markowi, że mu się zachciało dostać na Księżyc tylko, a nie na którą z planet systemu słonecznego na przykład, bo wtedy rzecz byłaby do wykonania cokolwiek trudniejsza…

Śmiali się obaj i żartowali.

– I czemuż ty się tam wybierasz? – pytał Marka. – Czy ci już źle na Ziemi?

– Nie, ale wiesz, ciekaw jestem, co się stało z tą wyprawą O'Tamora sprzed kilku wieków, który w towarzystwie, zdaje się, dwóch mężczyzn i jednej kobiety dał się wyrzucić w pocisku na Księżyc, by tam założyć nowe społeczeństwo…

– O'Tamorowi towarzyszyło trzech mężczyzn i jedna kobieta…

– Ach! Mniejsza… Zresztą mam i inny powód. Sprzykrzyła mi się już Aza.

– Aza? Któż to jest?

– Jak to, nie wiesz? Aza!

– Twoja nowa suka myśliwska czy klacz?

– Cha, cha, cha! Aza! Cudo! Śpiewaczka, tancerka, którą się zachwycają obie półkule… Opiekuj się nią, Jacku, gdy odjadę!

Tak mówił wówczas Marek, roześmiany, wesoły, kipiący

bujnym, młodym życiem…

Jacek zmarszczył brwi i przetarł ręką czoło niecierpliwie, jakby chciał odegnać przykre jakieś wspomnienia.

– Aza… Tak jest, Aza, którą się zachwycają obie półkule…

Wzniósł z wolna oczy na Księżyc.

– I gdzie ty teraz jesteś – szeptał – i kiedy powrócisz? I co opowiesz? Co tam zastałeś, co cię tam spotkało?

– Tobie wszędzie dobrze – dodał po chwili już na wpół głośno.

Tak, jemu dobrze będzie wszędzie, myślał, bo ma w sobie jeszcze ten pierwotny, niepowstrzymany, twórczy pęd życia, co umie wytworzyć naokoło pożądane stosunki, a nawet w najgorszych znajduje strony dobre…

Przecież on, Marek, i tutaj czuł się swobodnym i wesołym i nie skarżył się, chociaż to tak trudno wobec tego, co ich otacza… A przecie niepodobny jest do tych wszystkich innych, zadowolonych…

Zamknął okno i nie zapalając świateł, powrócił do biurka na środku okrągłego pokoju. Przesunął się cicho po miękkim dywanie i macając ręką w cieniu, opadł w fotel wysoki. Cisnęły mu się na myśl przypomnienia wszystkich zmian w ciągu wieków zaszłych, co miały niby ludzkość uszczęśliwić, wyzwolić, podnieść…

Jakżeby się zdziwił ten człowiek w zamierzchłych gdzieś czasach, w dwudziestym stuleciu tę książkę przed chwilą porzuconą piszący, gdyby spojrzeć mógł dzisiaj na mapę Zjednoczonych Stanów Europy! Wówczas to zdawało się tak

odległym i niedoścignionym ideałem, a przecież przyszło względnie łatwo i nieuchronnie.

Jeno że wprzódy potrzeba snadź[10] było tych wszystkich wstrząsających ludzkością przewrotów, o których mówi historia: straszliwego, niesłychanego, bezprzykładnego pogromu Państwa Niemieckiego przez Cesarstwo Wschodnie, w jakie zamieniła się dawna Austria po zagarnięciu polskich krajów Rosji i połączeniu się z południowosłowiańskimi państwami… Tej nieoczekiwanej przez nikogo wojny trzyletniej potężnej Anglii, pani połowy świata, z Unią Krajów Łacińskich, po której Imperium Brytyjskie, niepokonane, ale też i niezwycięskie właściwie, rozpadło się jak strąk grochu dojrzały na kilkanaście państw samodzielnych – i jeszcze tych wszystkich burz, walk, zamieszań!

I oto pewnego dnia zrozumiano nareszcie w sposób taki jakiś prosty i niewątpliwy, że nie ma o co walczyć właściwie i zaczęto się dziwić, po co tyle krwi z taką rozlano zapamiętałością? Ludy Europy po kilkudziesięciu wiekach historycznego rozwoju dojrzały do zjednoczenia i zjednoczyły się na zasadzie samoistnych jedności narodowych, jak największej zażywających swobody.

A krok w krok za tymi zmianami postępował rozwój stosunków społecznych i gospodarczych. Obawiano się niegdyś gwałtownych przewrotów w tej dziedzinie i nawet wszystko zdawało się wskazywać na konieczność nieuchronnej

---

[10] *snadź* (daw.) – przecież, widzocznie. [przypis edytorski]

jakiejś katastrofy, a w istocie wszystko poszło tak gładko i… nudnie aż do obrzydliwości… Rozrost nadzwyczajny spółek i towarzystw spółdzielczych ułatwił przejście prawie niepostrzeżenie. Wyzyskanie nowych wynalazków, z jednej strony, wymagało zjednoczenia coraz większych sił – z drugiej zaś, podnosiło skalę dobrobytu ogólnego w tak niespodziewanie szybki sposób… Wkrótce nie warto już było posiadaniem osobistego majątku trosk sobie przysparzać.

Jeno że spodziewanej przez niektórych utopistów równości to nie sprowadziło bynajmniej. Zrównano prawa bezwzględnie i godność podniesiono człowieczą, dano wszystkim dobrobyt i oświatę dla wszystkich, ale – nie zrównano duchów ludzkich – ani – co za tym idzie – wartości i zakresu władzy jednostki. Och! Jakże to wszystko dalekie od tego śnionego niegdyś raju!

Byli po staremu bogaci i względnie ubodzy. Ludzie, którzy zajmowali jakieś stanowisko „pożyteczne” dla społeczeństwa i ważne, otrzymywali pensje częstokroć po prostu olbrzymie i po krótkim stosunkowo czasie służby – dożywocia, pozwalające im bez obowiązkowych zajęć na rozrywkach resztę dni spędzać. Rzadko się zdarzało, aby ci – wyzwoleni – dobrowolnej pracy jeszcze nadal się poświęcali.

Rządy były właścicielem jedynym, ale nie mniej dbałym o swoją kieszeń niż dawniej ludzie prywatni. Miasta ogromne pełne były wykwintnych hoteli – teatry, cyrki i sale zabaw kapały od złota – śpiewaków zaś i histrionów wszelkiego rodzaju płacono jak po wszystkie czasy sumami nieprawdopodobnymi.

Tymi drogami pieniądz z kieszeni dostojników i „emerytów” wracał na powrót do kas państwowych.

A iluż to ludzi „nieproduktywnych” dlatego tylko głodu nie znało, że pracować musieli obowiązkowo i jeśli się nie umieli rządzić tym, co im dawano za pracę niechętną, bywali zabierani pod państwową opiekę… A byli wśród nich ludzie młodzi nieraz, późniejsi wynalazcy i odkrywcy, pisarze i artyści do ręcznej pracy zmuszeni, marniejący często, sławni nieraz dopiero po śmierci, a za życia w cień przez szczęśliwych i modnych „kolegów”, schlebiaczy gawiedzi, zepchnięci…

Jacek myślał o tym wszystkim, ważąc znów w ręku książkę, przed chwilą czytaną…

Nie na dwie, jak się obawiał ten wyklęty ongi gwoli[11] pesymizmowi swemu pisarz dwudziestego wieku, ale na trzy części ludzkość się rozpadła. W środku jest tłum. Większość olbrzymia. Zgraja sytych, w miarę zażywających spoczynku i o ile możności jak najmniej myślących. Mają prawa, mają dobrobyt i oświatę – to znaczy uczą się w szkołach wszyscy tego, co dla nich zrobiono. Mają poczucie obowiązku i są przeważnie cnotliwi. Dzielą się na narody i każdy jest dumny z tego, że do swego narodu należy, chociaż, gdyby się był w innym urodził, byłby także z tego dumny. Niegdyś były narody świętością, z najserdeczniejszej krwi ulepioną – dzisiaj wyrodziły się z wolna w rodzaj strojów odmiennych, niemających głębszego znaczenia.

---

[11] *gwoli* – z powodu dla; z C. gwoli pesymizmowi, dziś z D.: z powodu pesymizmu. [przypis edytorski]

Różnica duchów się zatarła. W treści swych małych dusz tłum się stał wszędzie mimo różnic mowy, dochodów, władzy tak rozpaczliwie do siebie podobny!

Odmienność rasy i plemienia tętni może jeszcze żywa u tych najwyższych – „wiedzących”, którzy ponad błyszczącym tłumem europejskim stoją, nieprzebytą przepaścią duchowego rozwoju odeń oddzieleni. A oni przecież najmniej o narodowości mówią, w jedno braterstwo wiedzy i ducha losem swym związani.

Ale i w dole pod tłumem sytym i zadowolonym jest czerń międzynarodowa, którą również przepaść od niego odgranicza. Przeczy się temu głośno i zawsze, a jednak tak jest. Nie pomogą tu najpiękniejsze i nawet szczere słowa o równości, o prawie powszechnym do życia i dobrobytu, o nieistnieniu warstw uciśnionych! Zresztą – oni nawet nie są uciśnieni wcale.

Te miliony maszyn, ludziom służące, wymagają z swej strony do obsługi całej rzeszy robotników czujnych, umiejętnych, metalowej, nielitościwej dziwostworze po prostu zaprzedanych i niemyślących o niczym więcej, jak że w danej chwili trzeba pewien guzik pocisnąć lub dźwignię przerzucić. Pracują względnie krótko, płatni są dobrze, ale umysł ich, zaostrzając się w jednym kierunku, tępieje dziwnie we wszystkich innych, robiąc ich z wolna obojętnymi na to, co się dzieje poza fabryką, warsztatem i kołem ich najbliższej rodziny.

I to jest znamienne, że się nie buntują ani nie podnoszą, jak niegdyś robotnicy minionych stuleci. Daje im się mądrze wszystko i wszystko przyznaje, czego chcą, aż w końcu –

przestają chcieć czegokolwiek, nawet tych rzeczy, które by z łatwością mogły być dla nich dostępnymi. Nie mają ojczyzny, koniecznością pracy z miejsca na miejsce przerzucani, język sobie nawet wyrobili oddzielny, międzynarodowy, w dziwny sposób ze strzępów różnych języków sklejony.

A więc właściwie wszystko jest, jak było! Jeno że te granice niewyraźne, o których utrzymanie z góry, zniesienie z dołu, ongi walczono, wyraźniejszymi się stały, szerszymi i trudniejszymi do przebycia z chwilą, kiedy w zasadzie istnieniu ich zaprzeczono. Ustało obustronne parcie na zewnątrz i siłą faktów warstwy poczęły się skupiać i zasklepiać, cofając się mimo woli i wiedzy coraz bardziej od siebie.

I wszystko jest tak, jak było. I mimo dobrobyt, mimo wiedzę, mimo wolność i prawa[12] niby doskonałe – tak samo dzisiaj, jak i przed wiekami, płytko jest na Ziemi i ciemno, i duszno coraz bardziej w tym życiu, u którego kresu czeka śmierć, z jednako zawsze zakrytą, niepojętą twarzą.

A szczęście? Osobiste szczęście człowieka?

O, ludzka duszo, nigdy niesyta i niepoprawna! Nauka, wiedza ni mądrość żadna nie wytrzebią z głębi pragnień nierozumnych, śmiesznych a pożerających jak ogień, gdy wielce rozgorze.

Cień był w pokoju od chmur, co Księżyc zasnuły. Jacek mimowolnym niemal ruchem wyciągnął dłoń i dotknął na pamięć guzika w rzeźbach biurka ukrytego. Na owalnej tarczy

---

[12] *mimo dobrobyt, mimo wiedzę, mimo wolność i prawa* (daw.) – mimo z rzecz. w B.; dziś z D.: mimo dobrobytu itd. [przypis edytorski]

z mlecznego szkła w ramie brązowej zamigotał barwny obraz: drobna, dziecięca na pozór twarz pod bujną falą jasnych włosów i oczy ciemnobłękitne, ogromne, szeroko rozwarte…

– Aza, Aza… – szeptał w ciszy, pochłaniając wzrokiem to nikłe odbicie.

III

Mataret, odzyskawszy przytomność, nie umiał sobie przez długi czas zdać sprawy z tego, co się z nim stało właściwie i gdzie się znajduje. Przecierał oczy kilkakrotnie, niepewny, czy to istotnie ciemność nieprzenikniona go otacza, czy też powieki ma jeszcze zamknięte. Przypomniawszy sobie, że jest w wozie, który pędził z Księżyca na Ziemię, usiłował bezskutecznie zapalić światło elektryczne. Naprzód długo nie mógł znaleźć guzika – w wozie było dziwnie wszystko poprzewracane, a gdy wreszcie wyszukał, na próżno naciskał palcem. W przewodach coś się widocznie zepsuło: noc nie ustępowała.

Począł w ciemności wołać na Rodę. Przez długi czas nikt nie odpowiadał, aż wreszcie posłyszał stęknięcie, które mu dało przynajmniej znać, że towarzysz jego żyje. Po omacku posunął się w stronę, skąd głos go dochodził. Trudno mu się było orientować w położeniu. Przez cały czas podróży wóz własnym ciężarem pod wpływem przyciągania – naprzód Księżyca, a potem Ziemi – tak się obracał, że podłogę jego zawsze mieli pod nogami, teraz Mataret, posuwając się, zauważył, że pełza po wklęsłej ścianie pocisku.

Znalazł mistrza i wstrząsnął nim za ramię.

– Żyjesz?

– Żyję jeszcze.

– Nie jesteś ranny?

– Nie wiem. Zawrót mam w głowie. Boli mnie całe ciało. I ciężko, tak ciężko straszliwie…

Mataret czuł to sam, mogąc się zaledwie z największym wysiłkiem poruszać.

– Co się to stało? – zapytał po chwili.

– Nie wiem.

– Byliśmy już blisko Ziemi. Widziałem, jak wiruje… Gdzież teraz jesteśmy?

– Nie wiem. Może to my przelatywaliśmy ponad nią! Minęliśmy Ziemię teraz widocznie i pędzimy znów w przestrzeni dalej, w cieniu jej pogrążeni.

– Czy uważasz jednak, że wóz przybrał dziwne jakieś położenie? Chodzimy po ścianie.

– Cóż mnie to obchodzi? Wszystko jedno. Tak czy owak, śmierć nas czeka nieuchronna, na ścianie czy na powale[13]…

Mataret zamilkł, przyznając w duszy słuszność mistrzowi. Wyciągnął się na wznak i przymknął oczy, poddając się ogarniającej go z wolna senności, co przychodziła nań snadź[14] i jako zapowiedź zbliżającej się śmierci.

Nie usnął jednak. Majaczyły mu się tylko w jakimś na wpół przytomnym marzeniu księżycowe szerokie równiny i miasto przy *Ciepłych Stawach* nad brzegiem morza położone… Lud niby widział skądś wracający, z uroczystości jakiejś, od stopni świątyni, na których stał człowiek wyniosły, Zwycięzcą na

---

[13] *powała* (daw.) – sufit. [przypis edytorski]

[14] *snadź* (daw.) – widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Księżycu nazwany – i patrzył nań szyderczymi oczyma. Zawołał nawet na niego po imieniu. Raz i drugi.

Rozwarł oczy. Rzeczywiście wołano go.

– Roda…?

– Czy śpisz?

– Nie, nie śpię. Zwycięzca…

– Do licha ze Zwycięzcą. Krzyczę na ciebie już pół godziny. Wytrzeszcz ślepia!

– Blask!

– Tak jest. Jaśniej się robi. Co to jest?

Mataret dźwignął się i usiadł, zadzierając głowę ku górze. Istotnie okrągłe okno boczne, przy tym położeniu wozu do góry teraz zwrócone, szarzało z wolna jaśniejącą plamą na tle ciemności.

– Dzień się robi – szepnął.

– Nie rozumiem – rzekł Roda. – Dotąd przechodziliśmy z światła w ciemność i na odwrót bezpośrednio, w jednym momencie…

W tej chwili ze zwiększającą się nagle jasnością szelest jakiś suchy doleciał ich uszu – pierwszy odgłos, który od czasu odlotu z Księżyca z zewnątrz ich dochodził.

– Jesteśmy na Ziemi! – krzyknął Mataret.

– Z czego się cieszysz?

Ale on już nie słuchał. Walcząc z nieznośnym ciężarem własnego ciała, wydrapał się bliżej ku oknu, ponad którym przesuwały się jak gdyby tumany piasku, gęstniejące czasem tak,

że mrok znowu gruby zalegał wnętrze wozu. Mataret patrzył, nie rozumiejąc tego wszystkiego. W pewnej chwili przymknął oczy, niespodziewanym jaskrawym blaskiem uderzone. Piasek znikł i słońce oślepiające padło na okrągłą szybę. Słychać było wyraźnie świst wichru przewalającego się po świecie.

Kiedy znowu powieki rozwarł, jasno było dokoła – przez okno przeglądało się w górze niebo ciemnobłękitne, powietrzem malowane, nie czarne bynajmniej jak dotąd, kiedy przez przestrzeń międzygwiezdną przelatywali.

– Jesteśmy na Ziemi – powtórzył Mataret z przekonaniem i począł odkręcać śruby, zamykające wyjście z ich długotrwałego więzienia.

Nieraźno szła mu robota. Wszystko ciężkim mu się nadmiernie wydawało, a członki obezwładnione, leniwe, nużyły się szybko, tak że co chwila musiał odpoczywać. Gdy wreszcie ostatnie śruby z brzękiem w dół opadły i świeży powiew przez okno otwarte w twarz go naraz uderzył, zachwiał się, powietrzem pijany i zmęczony trudem, nie mogąc zrazu w braku sił na świat się wydobyć.

Po dłuższym odpoczynku dopiero wrócił do równowagi i chwyciwszy się rękoma za obrzeże okna, dźwignął głowę, a potem i całe ciało na zewnątrz. Roda cisnął się już za nim i wysuwał dużą rozczochraną czaszkę z wozu.

Patrzyli długo obaj w milczeniu.

– A nie mówiłem, że Ziemia jest niezamieszkana! – ozwał się wreszcie Roda.

Przed nimi – dokoła – jak okiem zasięgnąć ciągnęła się roztocz piasku, żółta, w garby niby fale pogięta, jarkim[15] rozżarzonym słońcem spalona. Wóz ich, zlatując na Ziemię, wpadł był w wydmę olbrzymią, z której go ustający teraz właśnie wiatr pustynny wygrzebał.

Mataret nie odpowiadał na słowa Rody. Patrzył szeroko rozwartymi oczyma i porządkował w duszy dziwne wrażenia. Wszystko naokół niego było ciche, martwe, nieruchome; trudno mu było uwierzyć, że to jest ta sama Ziemia, którą widział był, zda się, przed chwilą w szalonym wirze mknącą pod swymi stopami… Przecierał oczy i zbierał myśli rozpierzchłe – niepewny, czy śni teraz, czy się też ze snu niepojętego obudził.

Chwilami lęk go ogarniał nerwowy, którego przyczyny sam zgoła nie znał. Drżał wtenczas febrycznie od stóp do głów z okropnym, szalonym pragnieniem w sercu, aby to wszystko, co zaszło, ta podróż i ta Ziemia – okazały się jeno sennym majakiem… Starał się zapanować nad sobą i myśleć przytomnie.

Wreszcie poczuł, że głód mu zaczyna dokuczać. Wrócił do wozu i wydobył stamtąd resztę wody w miechu z nieprzepuszczalnej błony i szczupłe zapasy pozostałej jeszcze żywności. Zwrócił się do Rody:

– Jedz!

Mistrz wzruszył ramionami.

– Właściwie nie wiadomo, po co mam jeść i życie o kilka godzin przedłużać.

---

[15] *jarki* – jasny, żarzący się; por. *jarzyć się*. [przypis edytorski]

Mimo to rzucił się łapczywie na zapasy, aż go Mataret musiał powstrzymywać uwagą, że żywność należy oszczędzać.

– Po co? – warknął Roda. – Głodny jestem. Zjem, co mam do zjedzenia, i powieszę się na czubku tego wozu przeklętego!

Mataret, nie słuchając, ładował w worek resztę pożywienia i wynosił z wozu różne łatwe do zabrania drobne przedmioty, które mogły się przydać. Wreszcie, gdy związał wszystko razem, próbował zarzucić tobołek na plecy, ale spostrzegł, że się przeliczył ze swymi siłami, nie pamiętając o sześciokrotnie zwiększonej wadze na Ziemi. Rad nierad wyrzucił tedy wszystko, bez czego tylko można się było obejść, a resztę podzielił na dwa węzełki.

– Bierz – rzekł do Rody, wskazując jeden z nich – i pójdź[16].

– Dokąd?

– Gdziekolwiek. Pójdziemy przed siebie.

– To nie ma zgoła celu. Mnie jest wszystko jedno, w którym punkcie tej płaszczyzny przestrzeni zginę.

– Gdy Ziemia przelatywała pod nami, wirując, widziałem morze i kraje jakieś, zda mi się, zielone. Może dotrzemy do okolicy, gdzie się da żyć.

Roda, mrucząc niechętnie, zarzucił tobołek na ramię i ruszył za Mataretem. Szli na wschód słońca, grzęznąc w piasku, obezwładnieni upałem i zbyt gęstym dla ich księżycowych płuc powietrzem Ziemi, a nade wszystko wagą ciał własnych, które – drobne i niepozorne – wydawały im się, jak gdyby naraz w

---

[16] *pójdź* (daw.) – chodź. [przypis edytorski]

ołów były zamienione. Odpoczywali co kilkadziesiąt kroków, ocierając znojny pot z czoła.

Na przystankach Roda, korzystając z każdego zauważonego szczegółu, dowodził w dalszym ciągu, że Ziemia nie jest zamieszkana i w ogóle nie może być zamieszkana przez żadne istoty.

– Pomyśl – mówił – ten ciężar tłoczący! Któreż stworzenie znieść go zdoła przez dłuższy czas!

– Jeśliby tu jednak ludzie byli więksi i silniejsi od nas, jak na przykład Zwycięzca?

– Nie pleć głupstw! Gdyby tu ludzie byli więksi, ważyliby jeszcze więcej i nie mogliby się już zgoła poruszać.

– A jednak…

– Nie przerywaj, kiedy ja mówię! – oburzył się Roda. Ja nie rozprawiam z tobą, ale ci powiadam jeno pewne rzeczy, o których wiem. Ty słuchaj i ucz się.

Mataret wzruszył ramionami i podjąwszy swój tobołek, puścił się znowu naprzód w milczeniu. Mistrz postępował za nim, nie przestając dowodzić zdyszanym głosem prawdziwości swego zdania.

– Zdechniemy jak psy – powtarzał. – Tu nie ma, mówię, żadnej żywej istoty.

– Więc my będziemy pierwszymi – wtrącił Mataret – cała Ziemia będzie do nas należała.

– Dużo ci przyjdzie z tego! Piasek i woda, którąśmy z góry widzieli, jeżeli to jest woda w ogóle, a nie jakiś na szkliwo ścięty

kamień…

Mataret tymczasem przystanął i patrzył przed siebie z zajęciem.

– Widzisz! – rzekł po chwili, rękę wyciągając.

– Co?

– Nie wiem, co to jest… Pójdźmy bliżej.

Po kilkudziesięciu krokach, mając już twardszy, skalisty grunt pod nogami, mogli rozróżnić wyraźnie linię jakąś, drogę ich przecinającą i biegnącą w obie strony gdzieś w nieskończoność. Gdy podeszli bliżej, zobaczyli sztabę żelazną, metalowymi kozłami nieco nad poziom wzniesioną, która, jak okiem zasięgnąć, przekrawała pustynny kraj od końca do końca.

– Co to jest? – szeptał Roda zdumiony.

– Tu jednak muszą być jakieś żywe istoty – odezwał się Mataret. – Ta dziwna rzecz zda się być ręką ludzką zrobiona.

– Nie ludzką! Nie ludzką! Ostatecznie… może istotnie jakieś życie tutaj jest, ale ludzi nie ma na Ziemi! To pewne, przekonasz się… Po cóż by zresztą człowiek rozumny taką rzecz robił; marnował tyle żelaza nie wiadomo na co?

– Więc któż Ziemię zamieszkuje?

– Bo ja wiem kto? Jakiś rodzaj istot…

– Szernowie – bąknął przez zęby Mataret i obaj poczuli, jak dreszcz przeszedł ich członki na samo wspomnienie straszliwych księżycowych pierwobylców.

Oglądali zagadkową szynę z zajęciem, która tymczasem od pewnej już chwili poczęła z lekka dzwonić; naraz…!

Odskoczyli obaj w tył z przestrachem. Potwór jakiś olbrzymi, lśniący, ze spłaszczoną głową, przeleciał z hukiem po szynie w pędzie tak straszliwym, że nim mieli czas oprzytomnieć, on już był daleko. Patrzyli z lękiem a zdumieniem, nie śmiejąc nawet myśleć, co by to było właściwie.

Po dłuższym czasie dopiero ozwał się pierwszy Mataret, spoglądając nieufnie w stronę, w której zniknęło zjawisko.

– Jakiś zwierz ziemski…

– Ładna rzecz – mruknął Roda – jeśli tu takie potwory żyją. Przecież to miało ze sto kroków długości albo i więcej. A mknęło jak wicher. Czy nie zauważyłeś nóg?

– Nie. Spostrzegłem tylko wzdłuż całego ciała aż do ogona szereg ócz, które wyglądały jak okna… Mnie się jednak zdaje, że się to posuwało na kołach. Może to nie potwór, ale wóz jakiś dziwny?

– Głupiś. Gdzieżby wóz mógł pędzić tak szybko przez nic zgoła nie ciągniony?

– A nasz kto ciągnął przez przestworza? – wtrącił Mataret. – Może na Ziemi taki zwyczaj.

Roda zamyślił się na chwilę.

– Nie, to niemożliwe. Po jednej tak gładkiej sztabie wóz nie mógłby biec, przewróciłby się niewątpliwie.

– To prawda – przyświadczył Mataret.

Przesunęli się chyłkiem między kozłami pod szyną, spoglądając na nią nieufnie, i szli znowu dalej z troską i niepokojem w sercach. Obcymi się czuli na tej Ziemi, która,

wedle zwalczanej przez nich na Księżycu legendy, miała być pono kolebką ludzi pierwotną, a im się wydała straszną i pustą. Roda, nużąc się szybciej od towarzysza, przystawał co chwila i skarżył się na nieznośny upał, który, chociaż nie dochodził księżycowych żarów w południe, dotkliwszym im się wydał w gęstym ziemskim powietrzu. Naokół zaś, wśród żółtej piasku roztoczy – nigdzie cienia nie było.

Jeno tam gdzieś daleko przed nimi majaczyły skały jakieś o dziwnych kształtach, w oślepiającym słońcu aż białe, a pośród nich coś jakby olbrzymie pióropusze strzępiaste na wysokich, z lekka wygiętych słupach.

Dążyli tedy ku owym skałom, resztę sił wytężając w nadziei, że chłodu trochę znajdą pod nimi, gdy naraz zwróciły ich uwagę cienie jakieś przemykające przed ich oczyma szybko po piasku. Roda odwrócił się pierwszy i dostrzegł na niebie, między sobą a słońcem, niby stado ptaków potwornych o szerokich białych skrzydłach i spłaszczonych ogonach. Mataret zauważył u niektórych, bliżej lecących, że zamiast nóg miały koła pod sobą, a posuwały się w powietrzu chyżo, nie poruszając rozpiętymi skrzydłami. Natomiast przed głową ich, niewyraźnie się od ciała odcinającą, szedł jakiś wir, który zaledwie z trudnością można było okiem złapać.

Zniknęły rychło w stronie, ku której i pierwszy potwór błyszczący był podążał.

– Na Ziemi wszystko jest straszne – wyszeptał Roda

zmartwiałymi usty[17].

Mataret nie odpowiadał. Gdy patrzył za ptakami, uderzyło go położenie słońca na firmamencie. Stało już nisko i poczynało różowieć, za śreżogę[18] jakąś złotawą zachodząc.

– Już dawno temu, gdyśmy wyszli z wozu? – spytał po chwili.

– Bo ja wiem? Może cztery, może pięć albo sześć godzin…

– Słońce stało wówczas w zenicie?

– Tak.

Mataret wyciągnął rękę ku zachodowi.

– Patrz, już się skłania. To niepojęte po prostu. Czyżby tak szybko przebiegało po niebie?

W pierwszej chwili i mistrz nie umiał sobie zdać sprawy z tego dziwnego dlań zjawiska. Przeraził się znów strasznie i patrzył osłupiałymi oczyma na słońce, które snadź oszalało, przebiegłszy w sześć godzin połowę niebieskiego sklepienia, podczas gdy na Księżycu zużywa na to godzin kilkadziesiąt. Ale wnet uśmiech rozjaśnił jego szerokie usta.

– Mataret! – ozwał się – czyż ty już naprawdę nic nie wiesz z tego, czegom ja was w Bractwie Prawdy nauczał?

Łysy uczeń spojrzał z pytaniem na mistrza.

– Przecież – ciągnął dalej Roda – dni na Ziemi są krótkie i tylko dwadzieścia cztery nasze godziny wynoszą, a zatem…

– A prawda, prawda.

---

[17] *zmartwiałymi usty* – dziś forma N.lm: (…) ustami. [przypis edytorski]

[18] *śreżoga* – rozedrgane powietrze nad rozgrzaną powierzchnią, tworzące wrażenie mgły np. nad asfaltem w upalny dzień. [przypis edytorski]

Mimo to uspokojenie patrzyli obaj z podziwem na słońce, mknące w oczach po niebie, jak im się zdawało.

– Za godzinę gotowa być noc – szepnął Mataret.

– Przekleństwo! – syknął mistrz, zapominając o tym, co sam przed chwilą mówił – przekleństwo! Trzysta pięćdziesiąt godzin ciemności i mrozu. I cóż my zrobimy? Nie trzeba nam było wozu opuszczać…

Teraz Mataret pierwszy połapał się w nowych warunkach.

– Dwadzieścia cztery, a nawet tylko dwanaście godzin ciemności, przecież to Ziemia.

– A prawda, prawda! – rzekł Roda z kolei.

– Jednak to dziwne – dodał po chwili – bardzo dziwne. W każdym razie mróz nam na pewno dobrze dokuczy, nim słońce wzejdzie. Chociaż nie wiem, jak będzie ze śniegiem? U nas, to jest na Księżycu, spada śnieg dopiero w dwadzieścia lub trzydzieści godzin po zachodzie słońca, a tu będzie już dzień nowy.

– Może tutaj śnieg rychlej[19] spada?

Rozmawiając, posuwali się wciąż naprzód. Upał dnia ustawał nieco, a i oni już trochę przywykli do zwiększonego ciężaru swych ciał, tak że szło im się cokolwiek raźniej.

Skały były już blisko. Pod nogami wyglądał tu i ówdzie z piasku calec granitowy, w którego szczelinach trafiała się czasem nikła jakaś i pożółkła trawka.

Stawali wtedy obaj nad nią i oglądali długo, starając się z tego

---

[19] *rychło* – szybko. [przypis edytorski]

źdźbła marnego wywnioskować, jak może bujniejsza roślinność na Ziemi wyglądać, o ile istnieje w ogóle.

Słońce właśnie zaszło i dwaj Księżyczanie, do skał dotarłszy, szukali legowiska na noc, gdy w gęstniejącym szybko mroku uderzyła ich oczy olbrzymia jakaś postać kamienna, na poły ludzka, zwierzęca na poły. Ciało tego potwora, ze wszystkich znanych im istot, najwięcej jeszcze przypominało psa, który jako jedyne czworonożne zwierzę chował się wśród ludzi na Księżycu, jeno[20] okrąglejsze było i więcej muskularne, a na wzniesionej szyi człowieczą dźwigało głowę.

– Tutaj są myślące istoty na Ziemi, jak my, ludzie albo szernowie – zagadnął po pewnym czasie niemego podziwu Mataret – kiedy umieją robić takie rzeczy z kamienia.

– Jeśli jednak tak wyglądają! – dorzucił Roda, wskazując ręką nieruchomego potwora…

Straszno im było i smutno niewypowiedzianie. Wyszukali sobie kryjówkę w szczelinie skały, o ile możności jak najdalej od niesamowitego posągu, i robili przygotowania, aby się jakoś zabezpieczyć przed spodziewanym mrozem nocnym, kiedy wschodnia część nieba poczęła się z wolna złocić i pokrywać jasną łuną, gwiazdy rozbłysłe zaćmiewającą – aż wreszcie wypłynęła z niej kula jakaś ogromna, czerwona, świetlista.

Było to dziwne i niepojęte, jak wszystko, co ich w tym – najkrótszym w ich życiu – dniu spotkało. Kula tymczasem, jak gdyby bania światłem napełniona, wznosiła się w górę, wydając

---

[20] *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

się coraz mniejszą, ale i coraz jaśniejszą zarazem. Cień pierzchał – łagodny, srebrny obrzask lśnił się na piaskach i skałach, nadając pozór życia straszliwemu potworowi z kamienia.

– Co to za gwiazda może być?

Roda szukał długo w myśli, aż wreszcie potrząsnął głową przecząco.

– Nie znam tej gwiazdy – rzekł, patrząc na Księżyc, z którego właśnie przed kilku godzinami przybyli.

Ale Mataretowi przypomniał się nagle widok, jaki miał z okna wozu, pędząc w przestworzu – a chociaż tamto, z bliska widziane, większe było i mniej jasne, to jednak – pewne podobieństwo…

– Księżyc! – zawołał.

– Księżyc…

Patrzyli obaj ze straszną, żrącą tęsknotą w biednych sercach na tę płynącą spokojnie po niebie, niepowrotnie straconą, ojczyznę swoją.

IV

Z pociągu błyskawicznego Sztokholm-Aszuan wysiadła młoda dziewczyna o jasnych włosach i dużych ciemnobłękitnych oczach, patrzących na świat jak gdyby z dziecięcym jeszcze zdumieniem… Postępował za nią, niosąc w ręku drobne walizki, siwy, ale czerstwy jegomość o wyłupiastych nieco oczach w twarzy zarazem patriarchalnej, chytrej, tępej i poczciwej. Niewygodnie mu było w stroju, wedle najświeższej mody skrojonym, do którego snadź[21] nie przywykł, i czuł się trochę zmęczonym uporczywie graną rolą młodzieńca, chociaż starał się nie okazywać tego po sobie.

Do dziewczyny, ledwo stanęła na dworcu, przybiegł żywo sam dyrektor największego hotelu Old-Great-Cataract-Palace i z pełnym godności pokłonem wskazał jej ręką oczekujący samochód elektryczny.

– Apartamenty są od wczoraj przygotowane – rzekł z lekkim wyrzutem w głosie.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Dziękuję, kochany dyrektorze, iż się sam trudziłeś, aby mnie powitać, ale ja doprawdy wczoraj przybyć nie mogłam. Wszak telegrafowałam.

Dyrektor skłonił się znowu.

– Wczorajszy koncert odwołano.

---

[21] *snadź* (daw.) – widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Mówiąc to, wskazywał znów ręką pojazd czekający.

– Ach nie! Rzeczy moje tylko zabierzcie… Pan ma gdzieś kwity – zwróciła się do towarzysza. – Ja pójdę piechotą. Nieprawdaż, panie Benedykcie? Będzie przyjemnie. To tak niedaleko.

Rześki staruszek bąknął coś pod nosem, szukając kwitów po kieszeniach, a dyrektor cofnął się dyskretnie, usiłując nie okazać zgorszenia. Sławna Aza mogła mieć fantazje nawet tak nieprawdopodobne, aby chodzić piechotą.

Śpiewaczka, minąwszy kolejowe zabudowania, szła żwawo aleją niskimi palmami wysadzoną. Z lubością wciągała w pierś słodkie powietrze skłaniającego się dnia wiosennego. Dzisiaj rano, w futra ciepłe otulona, wsiadła do wagonu w Sztokholmie – w ciągu kilkunastu godzin przeleciała tunelem popod[22] Morze Bałtyckie i wszerz przez Europę i znowu tunelem pod wodami Śródziemnego Morza i przez wschodnią krawędź Sahary – i oto, nim słońce zaszło, patrzy na nie z brzegu Nilowego, wyciągając z rozkoszą w cieple młode gibkie członki, długim siedzeniem nieco zdrętwiałe.

Szła, rada z ruchu, tak szybko, zapominając o swym towarzyszu, który zaledwie mógł jej nadążyć, że nie spostrzegła nawet, jak się znalazła przed ogromnym hotelem. Przygotowano jej pokoje na uprzywilejowanym najwyższym piętrze z szerokim widokiem na zalew Nilu, który niegdyś, przed wiekami, za młodu, rzucał się tutaj ze skał kaskadą, zgubioną obecnie

[22] *popod* (daw.) – pod; pod spodem. [przypis edytorski]

w podniesionej tamami wodzie, użyźniającej pustynną ongi[23] okolicę…

Siadając do liftu[24], spytała o kąpiel – była naturalnie gotowa. Do stołu kazała podać za dwie godziny we własnej jadalni, nie chcąc schodzić do wspólnej sali.

Poleciwszy panu Benedyktowi czuwanie nad służbą znoszącą pakunki, zamknęła się zaraz w swej sypialni i odprawiła nawet garderobianą. W ścianie obok łóżka były drzwi do łazienki; otworzyła je szeroko i poczęła się zwinnymi rękoma sama rozbierać. W bieliźnie już siadła na sofie i twarz podparła dłonią. Duże oczy jej straciły wyraz dziecięcy, upór jakiś niezłomny wyjrzał z nich twardym, zimnym połyskiem i zaciął drobne usta purpurowe. Dumała chwilę…

Szybkim ruchem zerwała się i podbiegła do telefonu, po przeciwnej stronie łóżka umieszczonego. Zadzwoniła gwałtownie.

– Proszę mnie połączyć z centralną stacją telefonów europejskich…

Nadsłuchiwała jakiś czas w milczeniu.

– Tak. Dobrze. Tutaj Aza. Gdzie jest doktor Jacek obecnie? Proszę sprawdzić.

W kilka sekund jej odpowiedziano:

– Jego Ekscelencja Naczelny Inspektor sieci telegraficznej Stanów Zjednoczonych Europy znajduje się teraz w swym

---

[23] *ongi* (daw.) – dawniej, niegdyś. [przypis edytorski]

[24] *lift* (z ang.) – winda; *siadając do liftu* dziś: wsiadając do (…). [przypis edytorski]

mieszkaniu w Warszawie.

– Proszę o połączenie i znak…

Rzuciła słuchawki i przeszła znów ku sofie, wyciągając się na miękkich poduszkach z podwiniętymi pod głowę rękami. Uśmiech dziwny rozchylił teraz jej usta – oczy, zapatrzone w strop, błyszczały.

Lekki odgłos dzwonka przywołał ją znowu do aparatu.

– Czy to ty jesteś, Jacku?

– Tak, to ja.

– Jestem w Aszuan.

– Wiem. Miałaś tam być już wczoraj.

– Nie byłam. Nie chciałam, aby się wczorajszy koncert odbył.

– Tak?

– Nie spytasz, dlaczego?

– Hm…

– Przecież ty wczoraj miałeś doroczne zebranie Akademii…

Chwyciła szybko wyciągniętą ręką mały notatnik z kości słoniowej, który rozbierając się, na krzesło obok porzuciła, i spojrzawszy na zapisek, pośpiesznie z jakiegoś dziennika po drodze zrobiony, mówiła dalej:

– O godzinie ósmej wieczorem, w Wiedniu. Miałeś mówić o…

Nie mogła przeczytać niewyraźnie napisanego słowa, więc rzuciła notatnik i dokończyła z lekkim wyrzutem w głosie:

– Widzisz, ja wiem!

– Więc cóż?

– Nie byłbyś mógł być obecnym. Koncert odbędzie się jutro.

– I jutro ja nie będę.

– Będziesz!

– Nie mogę.

– Wszakże samolotem w parę godzin…

– Więc nie chcę.

Zaśmiała się głośno, srebrzyście.

– Chcesz! O, jak ty chcesz, Jacku… I będziesz. Do widzenia! Nie… jeszcze…. Jesteś? Wiesz, co ja robię w tej chwili?

– Jest pora obiadowa. Siądziesz wkrótce do stołu.

– Nie. Idę do kąpieli! Nie mam już prawie nic na sobie…

Rzuciła ze śmiechem słuchawki i zdarłszy jednym ruchem rąk z siebie koszulę, skoczyła do wanny marmurowej.

Pan Benedykt tymczasem, odprawiwszy służbę, począł jeszcze raz troskliwym okiem przeliczać złożone pakunki. Było wszystko w najzupełniejszym porządku. Przeszedł teraz do swojego pokoju, który go zaraz na wstępie zaniepokoił. Wydał mu się zbyt wielkim i ozdobnym. Szukał przez pewien czas oczyma cennika po ścianie, a gdy go nie mógł znaleźć, zadzwonił.

Wchodzącego lokaja zapytał o cenę. Służący spojrzał zdumiony: takie pytania nie były w zwyczaju w Old-Great-Cataract-Palace, mimo to jednak odpowiedział z szacunkiem, wymieniając kwotę istotnie wysoką.

Pan Benedykt z wyrazem dobrodusznej chytrości rozwarł wyłupiaste oczy i przybrał minę tajemniczą a poufałą.

– Mój kochanku, czy nie macie pokoju trochę tańszego? Widzisz, to dla mnie jest za drogo.

Dobrze wychowany lokaj usiłował mimo wszystko zachować kamienny wyraz twarzy.

– Na tym piętrze nie ma innych pokojów.

– Czemuż nie spytaliście się?

– Sądziliśmy, że w towarzystwie pani Azy…

– Tak, tak, serce, ale ja całe życie ciężko pracowałem nie na to, aby wam teraz niepotrzebnie napychać kieszenie.

– Więc chyba o piętro niżej…

– Ha, cóż robić! Każ przenieść moje rzeczy, kochanku.

Przeszedł na dół i rozgościł się we wskazanym mu przez złośliwość lokaja pokoju, który wprawdzie nie o wiele był tańszy, ale za to ciemny prawie zupełnie i pełen ohydnej woni benzyny, zalatującej od jakiegoś umieszczonego w podwórzu motoru. Pan Benedykt westchnął ciężko i uporządkowawszy rzeczy swoje, wyszedł na przechadzkę, nie zapominając zamknąć drzwi szczelnie na klucz za sobą.

Naprzeciw hotelu był ogromny dom gry. Stary pan wolnym krokiem zwrócił się w tamtą stronę. Wprawdzie on sam nie byłby nigdy zaryzykował ani jednej sztuki złota dla rzeczy tak niepewnej, jak ruleta, ale lubił patrzeć, jak inni pieniądze tracili. Dawało mu to wzruszenie dosyć dziwnego rodzaju. Czuł się mianowicie podniesionym na duchu i rozrzewnionym niemal myślą o własnej rozumnej oszczędności w porównaniu z lekkomyślnymi albo chciwymi graczami. Bo pan Benedykt

chciwym ani też skąpym zasadniczo nie był. Miał namiętność do śpiewu i włóczył się chętnie po świecie kosztownymi pociągami, byle tylko być w towarzystwie zachwycających go śpiewaczek. Namyślał się też poważnie nad tym, żeby mieć jaką przygodę miłosną, ale ponieważ brak mu było wprawy w tym względzie, więc odkładał rzecz na później.

We drzwiach sali gry zaczepił go wytworny lokaj.

– Pan nie we fraku? – rzekł, obrzucając go krytycznym spojrzeniem.

Wściekłość ogarnęła pana Benedykta.

– Nie jestem we fraku, głupcze! – odparł z godnością, o ile możności, jak największą i odepchnąwszy zastępującego mu drogę służącego, wszedł do środka.

Ale to drobne zajście zepsuło mu humor. Krążył przez pewien czas po sali, gniewało go to, że ludzie, na których dziś patrzył, przeważnie wygrywali, dochodząc do pieniędzy bez trudu, a jemu sprawiając zgorszenie, a gdy wreszcie jakaś wymalowana kokotka poprosiła go o pożyczkę stu sztuk złota, odwrócił się bez słowa na pięcie i podążył z powrotem do hotelu.

Tutaj Aza oczekiwała go już w jadalni.

Po obiedzie we dwoje zjedzonym pan Benedykt podsunął śpiewaczce papierośnicę. Usunęła ją lekko dłonią.

– Nie, dziękuję. Nie będę palić. A i pana proszę, abyś nie palił dzisiaj przy mnie. Muszę gardła na jutro szanować.

Staruszek schował papierośnicę skwapliwie, choć z pewnym smutkiem na dobrotliwej twarzy.

– Przejdź pan do swego pokoju na papierosa – rzekła Aza – i wróć za chwilę. Wszakże to obok.

– Nie. Przeniosłem się o piętro niżej.

– Dlaczego?

– Tutaj było dla mnie zbyt drogo.

Aza wybuchnęła śmiechem.

– Pyszny jesteś, staruszku! Przecież pan masz mnóstwo pieniędzy.

Pan Benedykt uczuł się dotkniętym. Pojrzał z ojcowską pobłażliwością na śmiejącą się dziewczynę i z lekkim wyrzutem w głosie wypowiedział głęboką sentencję:

– Moja droga pani, kto pieniędzy nie szanuje, tego i pieniądze szanować nie będą. Ja mam, bo ich nie wyrzucam na próżno.

– Ba, więc po cóż je pan masz?

– To moja rzecz. Bodaj aby móc po każdym występie zasypać panią kwiatami. Pracowałem ciężko przez połowę życia… Gdybym tak postępował jak pani…

– Jak ja?!

– Naturalnie. Odwołała pani telegraficznie koncert wczorajszy i musi pani teraz zapłacić olbrzymią karę Towarzystwu…

– Tak mi się podoba!

– Ach, gdyby się to pani przynajmniej tak podobało! Ale spóźniła się pani droga tylko przez lekkomyślność: przez nieuwagę opuściła pani ostatni pociąg, zasiedziawszy się na tym przyjęciu w klubie. A nie mówiłem!…

Śpiewaczka zerwała się nagle. Dziecięce jej oczy zapłonęły gniewem.

– Panie, ani słowa! Ani słowa o tym nikomu! To zresztą jest nieprawda. Nie przyjechałam wczoraj, bo nie chciałam.

– Ależ, paniusiu droga, po cóż ten gniew? – łagodził przerażony staruszek. – Ja doprawdy nie chciałem pani zrobić przykrości i nie myślałem…

Aza już się śmiała.

– Nic wielkiego. Och, jaką pan masz minę zakłopotaną!

– Panie Benedykcie – rzuciła naraz niespodziewanie – czy ładna jestem?

Stała przed nim wyprężona w lekkiej barwnej sukni domowej o szerokich rękawach, w klin pod szyję wyciętej. Głowę w jasnej włosów koronie odrzuciła w tył, dłonie na karku zaplotła, wysuwając białe łokcie krągłe z opadłych rękawów. Naprzód podane usta zadrgały jej wabiącym uśmiechem, co wzdyma wargi, bojąc się nazbyt ich rozchylić, by nie umknęły pocałunkowi…

– Ładna, ładna! – szeptał mężczyzna, patrząc na nią zachwyconymi oczyma.

– Czy bardzo ładna?

– Bardzo…

– Piękna?

– Piękna! Cudowna! Jedyna!

– Zmęczona jestem – odezwała się znowu, niespodziewanie ton zmieniając. – Idź pan już do siebie.

Ale po jego odejściu nie udała się na spoczynek. Wsparła białe łokcie na stole i wcisnąwszy brodę w dłonie, siedziała tak zamyślona ze ściągniętymi brwiami i twardo zaciśniętymi usty[25]. Niedopity kieliszek wina szampańskiego stał przed nią, grając topazową tęczą w bijącym zewsząd blasku świec elektrycznych. Szkło było weneckie, stare, nieprzepłacone – cienkie jak płatek róży – o barwie nieco zielonej, jak gdyby lekką mgłą opalową i złotą przyprószonej. Obok na śnieżnym obrusie walały się olbrzymie, prawie białe grona winne z Algieru i mniejsze, do krwi skrzepłej barwą podobne, z greckich wysp szczęśliwych. Brzoskwinia, na pół rozłamana, rozchylała – jak kobieta – wonne, wilgotne, pocałunku żądne a chłodne usta…

Na progu stanął lokaj.

– Czy pani pozwoli już zabrać?

Drgnęła i powstała.

– Tak, tak. Proszę mi przysłać jeszcze przez pokojową flaszkę szampana do sypialni. Niezbyt mrozić.

Przeszła do buduaru i wyjąwszy podróżną stalową kasetkę, otwarła ją tajemnym złotym kluczykiem, który wisiał wśród breloków u jej paska. Wyrzuciła na stół zwitek notatek i rachunków. Liczyła przez pewien czas sumy jakieś, kreśląc cyfry szybko ołówkiem na tabliczkach z kości słoniowej, a potem wyjęła plik telegramów, osobno złożonych. Przeglądała je raźno, wypisując z nich czasem daty i nazwy miejscowości. Były to przeważnie wezwania różnych miast ze wszystkich stron świata,

---

[25] *usty* – dziś popr. forma N.lm: ustami. [przypis edytorski]

aby raczyła je zaszczycić odwiedzinami i wystąpić raz lub dwa w jakimś największym teatrze. Depesze były krótkie, w tych samych prawie słowach spisane, a wymowne jeno cyfrą na końcu wymienioną i zawsze bardzo wysoką.

Aza odrzucała niektóre z nich z wyrazem pogardliwym albo niechętnym, nad innymi namyślała się długo, nim zanotowała datę na tabliczkach.

Spomiędzy telegramów wyleciała, zamieszana w nie przypadkowo, kartka papieru. Był na niej wypisany jeden tylko wyraz: „kocham!”, i imię. Śpiewaczka uśmiechnęła się. Czerwonym ołówkiem podkreśliła imię dwa razy i pomyślawszy chwilkę, dopisała datę sprzed paru tygodni, po czym sięgnęła do szkatułki, szukając w jej wnętrzu właściwego miejsca dla dokumentu.

Wysypały się spod jej ręki listy i kartki, nieraz z notatników wydarte, na których z pośpiechem parę słów tylko skreślono. Na niektórych z nich były krótkie dopiski jej ręką zrobione: daty, cyfra, znak jakiś. Przeglądała je teraz, uśmiechając się albo marszcząc brwi, jak gdyby sobie chciała z trudem coś przypomnieć. Jedną kartkę zbliżyła ku światłu, niewyraźne nazwisko czytając.

– Ach, to on – szepnęła. – Umarł.

Rozdarła papier i rzuciła w kąt. W ręku trzymała teraz bilet z czerpanego papieru, zżółkły nieco i jakby częstym dotknięciem palców wygładzony.

Zalatywała od niego woń jej sukni i ciała – snadź długo był

niegdyś przy niej, nim się tu dostał do stalowej skrzyneczki między inne papiery.

Usta jej zadrgały – wpatrzyła się uporczywie w kilka słów ołówkiem na bilecie nakreślonych i już niemal zatartych…

Dwa tylko wyrazy, przy których ręka silniej ołówek nacisnęła, znać było dobrze: „Jesteś piękna”, i na dole imię: Marek.

Przez długi czas patrzyła Aza na te słowa, początkowo myśląc o tym, który je kreślił, i o dniu i chwili, kiedy nakreślone zostały, a potem – cofając się pamięcią wstecz coraz dalej – o życiu swoim całym od pierwszej młodości, od zagubionego gdzieś we wspomnieniach dzieciństwa.

Przypomniały jej się dni prawie nędzy obok pijanego wciąż ojca i nieustannie płaczącej matki, praca w jakimś zakładzie koronkarskim i pierwsze spojrzenia mężczyzn oglądających się za nieletnią dziewczyną na ulicy.

Wstrząsnęła się ze wstrętem i odrazą.

Przed oczyma zamajaczył jej cyrk jakiś i taniec na wyciągniętej w powietrzu linie, i oklaski… Tak, oklaski w tej chwili, kiedy w bezczelnej pantomimie miłosnej, trzymając się liny palcami jednej nogi, z drugą podniesioną w tył – gwałtownie przegięta – dawała całować biedne dziewczęce usta ohydnemu błaznowi, który stał za nią…

Teatr trząsł się od oklasków, a jej mróz przerażenia ściskał serce, bo błazen za każdym razem, patrząc w nią zaczerwienionymi oczyma, szeptał głosem zdławionym: „Zepchnę cię, małpo, i skręcisz kark, jeśli się nie zgodzisz…”.

Kolacje po wielkich restauracjach i spojrzenia znowu, i uśmiechy lubieżne dostojnych emerytów, uśmiechy, które umiała już na złoto zamieniać – dzieweczka kilkunastoletnia…

Dobrodziej znienawidzony, ohydny dobrodziej, którego imienia już prawie zapomniała – nauka śpiewu i występ pierwszy – potem dalsze… kwiaty – sława – bogactwo. Ludzie, którymi się nauczyła pomiatać i wabić ich, zimna sama, i rzucać obojętnie, kiedy się sprzykrzą albo zrujnują.

Spojrzała znowu na kartkę papieru w ręku trzymaną. Przed tym jednym człowiekiem uciekała, bojąc się go. Pamięta – pisała do niego – jak niegdyś przed wiekami w dawnych śmiesznych czasach pisywano: „Gdybym nie miała tego całego życia za sobą, gdybym całując cię, mogła powiedzieć, że jesteś pierwszym, którego całuję…”.

Zerwała się nagle i wrzuciwszy bez ładu wszystkie papiery na powrót do szkatułki, zatrzasnęła ją nerwowym ruchem. Chodziła jakiś czas szybko po pokoju, błyskając oczyma spod opuszczonych brwi. Piękne drobne usta wykrzywiły jej się w uśmiechu, który miał być szyderczy, ale wznosił drżące kąty jej warg, jak gdyby się miała rozpłakać.

Sięgnęła ręką po szklankę i czekającą od chwil paru butelkę szampana. Nalała po brzegi i wychyliła duszkiem perlisty płyn, z lekka tylko zamrożony i spływający jej białą pianą po palcach.

Naraz zapragnęła powietrza. Skoczyła do windy, osobno dla jej użytku w ścianie umieszczonej, i kazała się jej wynieść na dach.

Ogród tu był na płaskim dachu olbrzymiego budynku, pełen palm karłowatych, krzewów dziwnych, wyszukanych kaktusów i kwiatów o silnym, duszącym zapachu. Przeszła szybko po ścieżkach, trzcinowymi wyłożonych matami, i stanęła przy okalającej platformę balustradzie.

Nocny, rzeźwy wiatr wiał od pustyni. Szeleściły w nim sucho palmy karłowate i drżały liście pergaminowe figowców. Stała, wciągając wiatr z rozkoszą rozdętymi nozdrzami. Pustynia była za nią ogromna, nieprzenikniona, dotąd pracowitej ręce ludzkiej bezmiarem swym urągająca; przed nią w dole olbrzymi zalew Nilowy, nad którym gdzieś od strony Arabii Szczęśliwej, od dalekiego Morza Czerwonego księżyc wschodził właśnie ognisty.

Woda poczęła się lśnić i błyskać srebrzystymi smugami, aż daleko, daleko zaczerniały na niej jakieś punkty, jak gdyby głazy i pnie z powodzi sterczące, i odrzynały się coraz wyraźniej od tarczy księżyca, pełniejszej z każdą chwilą… Zwaliska świątyni, niegdyś poświęconej Izydzie, na zatopionej od wieków wyspie.

Wzrok dziewczyny błądzący zatrzymał się na tych ruinach i powoli uśmiech tryumfu rozchylił jej piękne wargi.

V

Hafid pogardzał w głębi duszy całą cywilizacją i wszystkimi jej wymysłami. Po staremu – na grzbiecie wielbłądów zwoził na targ daktyle, jak ojciec jego i praojciec, i prapradziad w zamierzchłych onych czasach, kiedy Pustyni Libijskiej nie przerzynały jeszcze koleje jedno- ani dwuszynowe i nie latały nad nią ptaki z płótna i metalu, noszące ludzi we wnętrzu.

On też był jedynym może człowiekiem na świecie, który się cieszył całym sercem, że mimo nadzwyczajnych wysiłków nie udało się zamierzone nawodnienie Sahary. Jemu wystarczała zupełnie rodzinna, palm daktylowych pełna oaza i targ ludny w mieście nad Nilem.

Ranek był wczesny. Z dwoma pomocnikami, siedząc na grzbiecie starego dromadera, prowadził osiem wielbłądów, uginających się prawie pod ciężarem juk – i cieszył się naprzód myślą, że oddawszy ładunek do magazynów, za otrzymany grosz upije się wraz z towarzyszami do nieprzytomności. Bo trunek to była jedyna rzecz, którą w cywilizacji cenił i poważał. Ałłach też na starość stał się wyrozumialszym i aby nie zniechęcać do reszty słabo wierzących weń zwolenników, nie zabraniał już im tak srodze rozpalających napojów.

Cieszył się więc Hafid w prostym sercu swoim, że na oazie rosną palmy i rodzą daktyle i że on ich owoc wozi do Aszuan, gdzie go ludzie chętnie kupują, a wreszcie, że Bóg jedyny

a dobrotliwy pozwolił niewiernym psom szynki pobudować i przymyka oczy, gdy się wierni w nich upijają. Dumał właśnie nad tym prawdziwym a doskonałym porządkiem świata, gdy Azis, parobek jego, sprzykrzywszy sobie długie milczenie, ozwał się, ościeniem na zachód wskazując:

– Mówią ludzie, że wczoraj tam gdzieś za koleją kamień spadł z nieba ogromny.

Hafid ruszył filozoficznie ramionami.

– Może się gwiazda która oberwała, a może jeden z tych sztucznych ptaków przeklętych skrzydła zwichnął…

Zaśmiał się szeroko.

– Bardzo przyjemnie jest patrzeć, gdy zlatuje człowiek, co niepotrzebnie latał po powietrzu, zamiast siedzieć na grzbiecie wielbłąda, którego nam Bóg dał dla wygody.

Ale jako że był człowiek praktyczny, obejrzał się i dodał z zajęciem:

– Czy nie wiesz, gdzie to upadło?

– Nie wiem. Mówią, że za koleją, ale to może nieprawda.

– Może być prawda, może być nieprawda. W każdym razie, gdy będziemy wracać, trzeba poszukać. Kto zlatuje, ten się zabija, a kto się zabił, ten już nie potrzebuje pieniędzy, które mógł mieć przy sobie. Szkoda by była, gdyby to zabrał jaki zły człowiek.

Jechali znowu z godzinę w milczeniu. Słońce już żywo dopiekało, kiedy dojeżdżali do skał, poza którymi widać już było mury miasta nad Nilem. Hafid na skały patrzył z przyjaźnią:

stanowiły one jedno ważne ogniwo w łańcuchu boskiej harmonii świata. Kiedy powracał pijany do domu, poczuciem obowiązku bohaterskim mimo znużenia gnany z powrotem, dromader jego, duszy obowiązkowej w sobie niemający, klękał tutaj w znanym miejscu i zrzucał pana w cień na skąpą trawkę pod skałą. W ten sposób Hafid nie miał sobie nic do wyrzucenia, a mógł się przespać i odpocząć.

Myślał właśnie o tym mądrym zrządzeniu Opatrzności, kiedy wielbłądy naraz prychać zaczęły i wyciągać długie szyje ku popękanej skale z piasku sterczącej. Azis zaniepokoił się i wraz z drugim parobkiem, Selmą, poszedł zobaczyć, co by to tam być mogło. Za chwilę zaczęli wołać obaj na Hafida.

Naszli[26] oni wśród skał drżących z przestrachu przybyszów z Księżyca…

Roda, otworzywszy oczy tego dnia, miał wrażenie, że dopiero przed chwilą był zasnął. Zdziwił się też niepomiernie, widząc, że słońce już wzeszło na horyzont i zaczyna dobrze dogrzewać. Po chwili dopiero przypomniał sobie, że jest na Ziemi i że tutaj taki zwyczaj. Towarzysz jego spał czujnie, zerwał się też zaraz na równe nogi, gdy tylko mistrz się poruszył.

– Co się stało? – spytał, przecierając oczy.

– Nic. Słońce świeci.

Wyszli obaj z kryjówki, zdziwieni jeszcze i tym, że noc przeminęła bez śniegu i mrozu. Okolica po dniu wydała się im nie mniej pustą i straszliwą, jak w mroku wieczornym.

---

[26] *najść* – znaleźć, spotkać; tu: 3.os.lm cz. przesz.: *naszli*. [przypis edytorski]

Przekonali się tylko, że Ziemia nie jest zgoła bujniejszej roślinności pozbawiona – o kilkadziesiąt kroków przed nimi chwiały się osamotnione drzewa dziwne o wysokich pniach z zieloną koroną liści ogromnych u góry. Natchnęło ich to pewną otuchą, że zdołają tu życie utrzymać, a tylko wspomnienie wczoraj widzianych okropnych potworów duszę im niepokojem zatruwało.

Ostrożnie, oglądając się za każdym krokiem, zaczęli się zbliżać ku drzewom. Po drodze, mijając załom skały, stanęli nowym, a niespodziewanym uderzeni widokiem. Przed nimi wznosiło się coś niby dom dla wielkoludów w gruz się rozsypujący. Patrzyli na kolumny niesłychanej grubości i na skały na nich spiętrzone, mające stanowić powałę[27].

– Istoty, które tutaj mieszkały, musiały być znacznie większe od Zwycięzcy, może sześć, może dziesięć razy – mówił Mataret, zadzierając głowę do góry.

Roda założył ręce na plecach i przypatrywał się ruinom.

– To już bardzo dawno opuszczone i rozwalone – rzekł. – Patrz, jakieś krzewy kolczaste w szczelinach murów rosną…

– Rzeczywiście. A jednak, mistrzu, to dowód, że Ziemia nie jest pusta, jak nauczałeś zawsze. Muszą tu być ludzie, choć pewnie ogromni. O, wizerunki jakieś na ścianach! Przecież to zupełnie ludzkie istoty. Wprawdzie niektóre z nich mają psie i jakieś ptasie głowy na karku…

Roda zagryzł usta niechętnie.

---

[27] *powała* – sufit; sklepienie [przypis edytorski]

– Mój drogi – ozwał się po chwili – ja utrzymywałem zawsze, że ludzi nie ma teraz na Ziemi, ale mogli niegdyś być. O tym nic nie mówiłem. Owszem, jest wielkie prawdopodobieństwo, że dawniej było na Ziemi inaczej i nim stała się pustynią bezpłodną, ludzie po niej chodzili lub przynajmniej istoty do ludzi podobne. Teraz, jak widzisz, dawne ich domy są w ruinach; życie tutaj wszelkie wygasło i…

Urwał, zaniepokojony jakimś głosem, który od strony pustyni go doszedł. Zbliżały się dziwne i przerażające istoty o czterech nogach i dwóch głowach, z których jedna na długiej szyi była na przodzie, druga – do człowieczej zgoła podobna – nad grzbietem zwierza sterczała.

– Uciekajmy! – krzyknął mędrzec i puścili się obaj pędem do kryjówki, w której noc spędzili. Tutaj, w suche liście palmowe zagrzebani, oczekiwali w śmiertelnym strachu, aż cudaczne potwory ich miną.

Nadzieja ta jednak zawiodła; zwietrzyły ich wielbłądy i wkrótce parobcy Hafida ich wygrzebali, wołając na pana swojego w zdumieniu niesłychanym z powodu tego odkrycia.

Arab zbliżył się z wolna, pomocnicy bowiem jego byli czarni i nie wypadało, aby na ich głos zbytnią skwapliwość okazywał – i zobaczył rzecz zaiste dziwną.

Obok rozwalonej komyszy[28] z kamienia i ziela suchego stały dwie figurki o kształtach człowieczych, ale śmiesznie małe i niesłychanie wystraszone. Jeden z tych człowieczków łysy był i

---

[28] *komysz* – krzak, zarośle, zwłaszcza na miejscach podmokłych. [przypis edytorski]

miał wyłupiaste oczy, drugi kręcił zbyt wielką na wzrost swój głową o rozwichrzonej czuprynie, mamrocząc coś i mamląc, czego żaden porządny człowiek nie byłby zdolny zrozumieć. Parobcy wyciągali ku nim kije z udaną groźbą, śmiejąc się do rozpuku z ich obłędnego strachu.

– Co to jest? – zapytał Hafid.

– Nie wiadomo. Może małpy uczone, a może ludzie. Mówią coś.

– Gdzieżby zaś ludzie tak wyglądali! Przecież to do niczego niepodobne.

Zsunął się z grzbietu dromadera i ująwszy rozczochranego człowieczka za kark, podniósł go na wysokość twarzy, aby mu się przyjrzeć dokładniej. Człowieczek zaczął wrzeszczeć i wierzgać nogami, co parobków doprowadziło znowu do szalonego śmiechu.

– Zabierzemy to ze sobą do miasta czy co?

– Może kto kupi…

Hafid potrząsł głową.

– Nie warto sprzedawać. Więcej można zarobić, pokazując w klatce albo na sznurku. Co to robiło, gdyście przyszli?

– Leżeli obaj ukryci – odparł Azis. – Ledwie ich mogłem wyciągnąć. Przestraszyli się bardzo i patrzyli to na mnie, to na wielbłądy, bełkocąc coś do siebie.

Łysy człowieczek tymczasem wdrapał się na kamień, aby być wyższym, i zaczął coś gadać, ruszając rękoma. Patrzyli wszyscy trzej na niego, a gdy skończył, wybuchnęli niepohamowanym

śmiechem w przekonaniu, że jest to jedna ze sztuk, jakiej karzełka gdzieś w cyrku wyuczono.

– A może to głodne? – zauważył Hafid.

Selma wyjął z troków garść daktylów i podał je karzełkom na dłoni. Patrzyli obaj nieufnie, nie śmiejąc wyciągnąć ręki po owoc. Wtedy parobek, litościwym sercem uniesiony, pochwycił włochatego karlika za kark lewą dłonią, a prawą usiłował mu wepchnąć owoc do gęby. W tej chwili jednak zaklął straszliwie. Człowieczek chwycił go zębami za palec.

– To kąsa – rzekł Azis i oddarłszy kawałek brudnej szmaty od burnusa[29], przewiązał nią mocno głowę niebezpiecznego potworka. Po czym umocowali ich obu łykiem na jucznych wielbłądach i ruszyli ku miastu z niespodziewaną zdobyczą.

– Trzeba będzie naprzód kupić klatkę – mówił Hafid po drodze. – Tak ich pokazywać nie można. Jeszcze by uciekli.

Pomyślał trochę i dodał:

– Nie trzeba też, aby ich ludzie przedwcześnie na targu za darmo widzieli. Najlepiej będzie, jeśli ich tymczasem w worki schowamy.

Jakoż nim dojechali do miasta, narzucił broniącym się karlikom worki palmowe na głowy i rzetelnie ich w nich zawiązał.

Przez dzień, kupią[30] zajęty, zapomniał był prawie o nich,

---

[29] *burnus* – rodzaj wierzchniego okrycia z kapturem, bez rękawów, najczęściej wełnianego, noszonego przez Arabów. [przypis edytorski]

[30] *kupia* – czynności kupieckie; kupiectwo; handel. [przypis edytorski]

zwłaszcza że to był dzień, gdzie było się czemu podziwować. Podobno śpiewaczka jakaś sławna miała tego wieczora dawać przedstawienie i ludu nazjeżdżało się mnóstwo ze wszystkich stron świata. Z każdego pociągu, co się na dworcu zatrzymywał, wysypywały się tłumy, a samoloty spadały na ziemię ciągle całymi stadami jak jesienią jaskółki z europejskich krajów lecące. Dużo było strojnych pań i panów, którzy nie mieli snadź[31] nic lepszego do roboty, jak przebierać się kilkakrotnie na dzień i pokazywać się ludziom w coraz innym stroju, jak gdyby w maskaradę się bawili.

Hafid, zładowawszy z wielbłądów daktyle, włóczył się, patrzył i cudował[32]. Nad wieczorem dopiero w szynku przypomniał sobie o znalezionych za dnia potworkach. Zaczął wołać na parobków, aby mu je przynieśli. Pobiegł tedy Selma do wielbłądów po zdobycz, a Azis tymczasem jął opowiadać, jak mu się z wielkim trudem udało zyskać tyle u dziwostworów zaufania, że je mógł nakarmić mlekiem kokosowego orzecha.

– Oni nie są głupi – rzekł – i mają imiona! Wskazywali kolejno na siebie i powtarzali ciągle: „Roda, Mataret”!

– Aha! Tak ich pewno wołali w cyrku, skąd snadź[33] uciekli. To jakieś bardzo uczone małpy – zauważył Hafid.

I licząc naprzód na wielką ilość pieniędzy, jakie za pokazywanie ich zbierze, kazał sobie podać pełną flaszkę wódki.

---

[31] *snadź* – widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

[32] *cudować się* – dziwić się. [przypis edytorski]

[33] *snadź* – widocznie, prawdopodobnie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

Uczuł też szczodrość w zacnym sercu i zawołał do osobnej izby kilku przyjaciół, aby ich poczęstować i na początek za darmo pokazać krasnoludków, których Selma tymczasem był przywiódł.

Uprzątnięto stół i postawiono ich na środku. Poganiacze wielbłądów, oślarze, przewoźnicy i drążkarze przyglądali im się z zajęciem, obracając rękoma na wszystkie strony i dotykając brudnymi palcami skóry na twarzy, czy podobna do człowieczej. Hafid jął się popisywać ich zmyślnością.

– Roda, Mataret – mówił, wskazując na nich palcami.

Przyświadczali skinieniem głowy żywo i z widocznym ukontentowaniem, że ich nareszcie zrozumiano. Więc różni różne im teraz zadawali pytania, nie otrzymując naturalnie żadnej dającej się wyrozumieć odpowiedzi. Usiłowano poradzić sobie znakami i ruchami rąk, aby się dowiedzieć, skąd przybyli. Po niejakim czasie karzełki pojęły widocznie, o co pytającym chodzi, a jeden z nich, Roda, nachyliwszy się ku oknu, przez które właśnie Księżyc do izby zaglądał, zaczął nań wskazywać uporczywie, mówiąc przy tym jakieś niezrozumiałe wyrazy.

– Spadli z Księżyca – rzucił w formie dowcipu Hafid. Odpowiedziano mu chórem śmiechu. Więc dla zabawy pokazywano teraz malcom Księżyc i wskazywano ruchami rąk, że spadli z niego. I za każdym razem, gdy ci przyświadczali głowami, wybuchał wśród obecnych, a nieco już pijanych, śmiech nieposkromiony i długi.

Wreszcie ktoś podsunął łyskowi, który się wabił Mataret,

szklankę z wódką. Ten, spragniony widocznie, pociągnął nieopatrznie spory łyk i począł się ku ogólnej uciesze krztusić straszliwie. Wtedy drugi człowieczek zapłonął gniewem i wymyślał coś, tupiąc nogą w stół, a wywijając rękoma. Było to tak zabawne, że kiedy skończył i ochłonął nieco, jeden z obecnych, przewoźnik, wziął pióro z indyka i drażnił nim po nosie krasnoludka, aby go do nowego wybuchu pobudzić.

Mataret tymczasem, wódką zatruty, leżał na stole i jęczał, trzymając się oburącz za łysą głowę.

VI

Łagodnie, wolno jak ptak, który się waży na szerokich skrzydłach spływając ku ziemi, opuszczał się spod nieba biały samolot na cichy w wieczornej godzinie zalew Nilowy. Jacek leciał sam, bez pilota. Powstrzymał już przed chwilą wirującą śrubę powietrzną – i ślizgał się teraz na skrzydłach rozpostartych jak olbrzymi latawiec, lekko z tchnieniem wiatru na boki się kołysząc. Daleko przed nim, w stronie gdzie była niegdyś święta wyspa File, biła łuna od rozjarzonych tysiącami świateł ruin.

W chwili kiedy już prawie wody dotykał, odjął ręce od sternicy i nagłym ruchem szarpnął dwie po bokach znajdujące się dźwignie. Pod spodem samolotu rozpięło się czółno płócienne i uderzyło ostrą piersią o falę, rozpryskującą się w krople pełne srebrnego Księżyca.

Teraz ruchem dwóch dźwigni znowu wywinął Jacek skrzydła białe ku górze, tak że utworzyły one dwa na krzyż złożone żagle, jak u łodzi owych, co pod Alpami po Lemańskim pływają Jeziorze.

Wiatr szedł słodki gdzieś od strony Arabii i drobna łyskliwa fala szła za nim po wodzie. On dał się nieść fali i wiatrowi, słuchając szelestu miałkiego rozbryzgiwanych przodem łódki kropel. Dopiero gdy brzeg przed nim bliski zamajaczył, ocknął się z zamyślenia i żaglami począł chwytać powiew, zwracając dziób ku widnym ruinom w oddali.

Przez czas pewien mknął samotnie w blasku Księżyca, ale w miarę jak się zbliżał ku dawnej świątyni Izydy, spotykał łodzie coraz liczniejsze, różnorakie, aż w końcu dostał się w tłum, spod którego wody prawie nie było widać. Dążyli wszyscy w stronę zwalisk, prześcigając się wzajemnie i cisnąc; tu i ówdzie rozlegały się klątwy przewoźników lub krzyk kobiet, przestraszonych nachyleniem się wątłego statku, z boku przypadkiem wiosłem uderzonego. Liczne łodzie motorowe, elektrycznością gnane, zaledwie mogły się poruszać w tym tłumie, torując sobie z trudem drogę błyszczącymi dziobami.

Jacek, zyskawszy szczęśliwie parę metrów wolnej przestrzeni, rozpostarł znów skrzydła samolotu i puścił w ruch śrubę powietrzną.

Lekko jak mewa, zrywająca się z toni do lotu, uniósł się w górę i zakołował wysoko ponad ciżbą ludzi stłoczonych. Błyszczały pod nim w dole różnymi światłami łodzie na szeroki zalew rzucone, jak garść ogników z ręki wysypana… Gdzie miejsca było nieco więcej, toń powtarzała odbiciem ognie na łodziach płonące, rozrywając je drobną falą na żywe, rozedrgane, złote plamy wydłużone.

Świątynia Izydy gorzała światłem od wnętrza, jak gdyby słońce w niej schowano pod rozpiętymi na bezgłowych kolumnach purpurowymi zasłonami.

Przy resztkach pylonów u wejścia czuwały straże, odbierające od przybyłych karty wstępu i oddające ich pod opiekę

przewodnikom, którzy w zalanym wodą chramie[34] łodziom wskazywali miejsca. Jacek z góry rzucił w chustkę owinięty swój bilet i opadł skrzydlatym czółnem na wodę w pierwszym, nienakrytym przedsionku świątyni.

Kolumny potwornych rozmiarów sterczały tu z gładkiej toni połową ciała, pleśnią już na granicy zetknięcia się z wodą objęte, ale u góry błyszczące niezniszczalną krasą barw, co tyle już wieków przetrwała, że plącze się myśl, chcąca je policzyć. U wejścia do szeregu dalszych naw gigantycznych, olbrzymim peplonem[35] z purpurowej materii teraz nakrytych i pełnych światła jarzącego, stali znowu na małych, przy dwóch pylonach nad wodą uczepionych balkonikach dozorcy, bacząc, by się kto w głąb bezprawnie nie wcisnął. Tutaj zwinął Jacek skrzydła łódki swej zupełnie i odjąwszy je, do boków przytroczył i płynął dalej w niepozornym czółenku, w które się zamienił jego samolot.

Świątynia była jak buda jarmarczna – pełna cywilizowanych i bogatych barbarzyńców ze wszystkich części świata na Ziemi. Pływała ta gawiedź w łódkach najrozmaitszych, w barkach, czółnach motorowych i w weneckich czarnych gondolach, snuła się po przyczepionych naprędce do ścian i między kolumnami zawieszonych bezczelnie metalowych galeriach, ocierając się łokciami o hieroglify stare i wizerunki bóstw

---

[34] *chram* – świątynia. [przypis edytorski]

[35] *peplon* – tu: długi i szeroki, prostokątny pas materiału; w starożytnej Grecji materiał taki, spinany klamrą, stanowił kobiece okrycie wierzchnie, także: *peplum*, *peplos*. [przypis edytorski]

przed kilkudziesięciu wiekami w kamieniu rzezane i zatopione częstokroć po kolana wodą, co wyspę ich świętą zalała.

W niepozornym, podróżnym ubraniu, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, mijał Jacek tych ludzi, dążąc w głąb między coraz gęstszym lasem kolumn rzeźbionych wieńcem sztucznych świateł elektrycznych u kapiteli owitych[36].

W ostatniej sali lamp już nie było. Pod stropem, co się sprzed wieków ostał jeszcze, granitowymi złomami ciążąc na olbrzymich pąkach lotosu, kolumny kończących – pod ciężkim stropem kamiennym pływała jeno świetlista mgła niebieskawa, niby zamarzła i uwięziona błyskawica letnia, rozchodząca się na wszystkie strony od głowy olbrzymiego posągu tajemniczej bogini… Woda, płytka w tym miejscu na dawnej świątyni posadzce, przepojona była również falami światła błękitnego, zdając się być jakimś stawem z bajki, cysterną źródła zaklętego…

Stary posąg Izydy czerniał w tych blaskach nieruchomy, ogromny, z wzniesioną dłonią, z ustami w dziwnym półrozwarciu zastygłymi, na których, zda się, przed wiekami słowo tajemnicy niewypowiedziane zamarło i trwa przez wieki niepojęte.

A u stóp posągu na wielkim, sztucznie zrobionym liściu lotosu stała kobieta. Włos jasny nakryty miała, jak bogini egipska, chustą w pasy i uwieńczony tiarą o ptasiej głowie i słonecznym dysku z góry. Ramiona drobne owijała jej gaza jeno srebrzysta, biodra ściśnięte były osłoną sztywną i pasem,

---

[36] *owity* – owinięty. [przypis edytorski]

w pachwinach spiętym opalem ogromnym i bezcennym. A spod zasłony wysuwały się nogi białe, nagie, złotymi obręczami w kostkach ujęte, podobnie jak przeguby dłoni, w górę właśnie wzniesionych.

Jacek skłonił nagle głowę, widząc, jak patrzy na nią pożądliwie tłum – i usta zacisnął.

Aza śpiewała, wtórując sobie ledwo dostrzegalnymi tanecznymi ruchami ramion i biódr[37]. Śpiewała dziwną, rytmiczną pieśń o bogach, których już nikt od dziesiątek wieków nie czcił.

O walce światła z ciemnościami, o mądrości najwyższej, w tajemnicę niezgłębioną okrytej, o Życiu i Śmierci.

Śpiewała o bohaterach i o krwi, i o miłości…

Muzyka dostrojona, ukryta, zda się, gdzieś z toni prześwietlonej bijąca, szła za jej głosem posłuszna, drżąca, jakby w świętym lęku, gdy o tajemnicy Powrotu mówiła – burzą dźwięków ją wspierając, kiedy obwoływała cześć zwycięskich światła bohaterów – szepcąc cicho, gorąco, obłędnie, gdy usta jej rozkosz i szczęście miłości sławiły.

Śpiewała w na wpół rozwalonej, wodą podmytej świątyni Izydy, wobec tłumu błyszczącego, co w bogów nie wierzył ani w bohaterów, w życie ni w śmierć, ani miłość… A przyszedł tutaj jeno dlatego, że rzecz to była niesłychana i niebywała, aby w chramie starym koncert dawano, i że występowała w nim Aza, sławna po całej Ziemi – i jeszcze, że za wstęp trzeba było

---

[37] *biódr* – dziś forma D.lm: bioder. [przypis edytorski]

zapłacić sumę, która by biedakowi na rok życia starczyła…

Niewielu tu było takich, co by istotnie przybyli dla wielkiej sztuki artystki i napawali się teraz głosem jej cudnym a wyrazistym, stwarzającym na powrót czarem przedziwnym to wszystko wielkie, co było i przeszło, i już się niemal zapomniało. Patrzano też przeważnie na jej twarz tylko, na kolana nagie i ramiona, liczono wartość niewielu, ale najprzedniejszych klejnotów, które miała na sobie, i oczekiwano niecierpliwie, kiedy hymny hieratyczne skończywszy, tańczyć pocznie przed oczyma tłumu.

Powoli jednak cud się począł dokonywać. Artystka chwytała głosem dusze ludzkie, gdzieś w głębi trzew[38] ukryte, i budziła je… Otwierały oczy nieporadne, zdumione własną istnością i falować zaczynały w rytm własnego śpiewu. Ten i ów ręce cisnął do piersi i szeroko, jakby raz pierwszy rozwartymi oczyma, łowił przypomnienia dziwne, od pokoleń w najskrytszych zwojach jego mózgu śpiące – i śnił pod przemocą artystki na krótką przelotną chwilę, iż rzeczywiście bóstwu jest oddany i gotów za światło do walki wznieść ramię i iść, gdzie usta te go zawołają, królewskie, uwodzące, mocne… Łowiono tedy uchem każdy dźwięk jej głosu, śledzono zapamiętałymi oczyma każdy ruch jej ciała prawie nagiego. W krótkich przerwach, kiedy śpiewać przestawała, krążąc jeno w poświętnym tańcu i kołysząc się rytmem, który jej z głębi gdzieś ginąca muzyka rzucała – w takich chwilach cisza tak doskonała zalegała dawną świątynię,

---

[38] *trzew* – dziś popr. forma D.: trzewi. [przypis edytorski]

że słychać było plusk fali ledwo dostrzegalnej, co podmywała niestrudzenie od wieków potężne kolumny i wygryzała tajemne znaki, ryte w granicie…

Jacek wzniósł oczy powoli. Światło przechodziło teraz nieznacznie z błękitu przez fiolet w blask płomienno[39] krwawy, smugi jasne, pod stropem błądzące, zgasły nie wiadomo kiedy – paliła się tylko woda, jak morze chłodnego płomienia, i czerwone jakieś zastygłe błyskawice szły spoza posągu Izydy, który poczerniał na tym tle jeszcze więcej i zda się, urósł jeszcze, wyolbrzymiał… Nie widać już było w cieniu tajemniczego uśmiechu dziwnych ust bogini – ręka tylko, wzniesiona na wysokość twarzy, nieodmiennie subtelnym, dyskretnym ruchem na próżno nakazywała milczenie, czy też znak jakiś dawała, niepojęty od wieków, niezrozumiany…

Zdawało się Jackowi przez chwilę, że na ciemnej twarzy widzi oczy boskie, żywe, na siebie zwrócone… I nie było w nich gniewu ani oburzenia na tych ludzi, co urządzają sobie zabawę w miejscu poświęconym niegdyś najgłębszym tajemnicom, nie było żalu za dawnym uwielbieniem ni smutku, że chram zbezczeszczony w gruz się rozpada, jeno[40] dziwne, tysiąclecia już trwające oczekiwanie, jak gdyby człowiek, co posłucha gestu bogini, nakazującego milczenie, i z ust jej przyjmie zagadkę najwyższą, miał przyjść dopiero… Jutro, za wiek czy za tysiąc lat…

---

[39] *płomienno* – dziś: płomiennie. [przypis edytorski]

[40] *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

Izis na wysokim tronie nie widzi zniszczenia naokół się rozpościerającego, nie widzi tłumu, nie słyszy gwaru, krzyków, śpiewu, jak ongi[41] snadź[42] nie widziała kornych pątników ani kapłanów, nie słyszała modlitw, próśb, uwielbień. Patrzy w dal i ręką nakazuje milczenie, i czeka…

Czy idzie? Czy idzie już ten oczekiwany?

Czy przyjdzie kiedykolwiek?

Naraz światła jaskrawe wraz z wracającym śpiewem uderzyły Jacka. Aza śpiewała teraz o straconym, boskim kochanku Hatorze, wydając głosem i tańca zapamiętałymi ruchami miłości rozkosz i upojenie, żądzę, tęsknotę i rozpacz…

Dreszcz przebiegł Jacka; odwrócił głowę, czując, że jakimś wstydem niepojętym czoło mu się rumieni. Chciał sobie uprzytomnić uśmiech i widziane przed chwilą w myślach oczy bogini, ale zamiast tego majaczył mu uporczywie w wyobraźni złapany źrenicą w przelocie ruch piersi tancerki i usta jej drobne, dziecięce, na wpół rozwarte, wilgotne… Gorąca fala uderzyła mu do głowy; wzniósł powieki i wpatrzył się w nią wyzywająco, namiętnie, zapominając o wszystkim, o wszystkim…

A jej drżały ramiona białe i dreszcz ciało od stóp do głów przechodził, kiedy z ust, jakby żądzą nabrzmiałych i bolących jeszcze od pocałunków, mówiła o boskim Hatorze i o rozkoszy uścisku, i o unicestwiającym, płomiennym oddaniu… Prysnął czar wielki, który przed chwilą trzymał jeszcze ludzi w kole

---

[41] *ongi* (daw.) – niegdyś, dawniej. [przypis edytorski]

[42] *snadź* – zapewne, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

zaklętym. Dusze – na wpół z ciał wychylone, ukryły się raźno jak biedne zwierzątka leśne w dziuplach drzew: nie umiano już tego słuchać inaczej, jak lubieżnymi nerwami, wystygłą krew podniecającymi. Oczy powlekły się mgłą, usta obleśny uśmiech wykrzywiał, przez gardła pożądliwe szło łaskotanie…

Teraz ten tłum zaś był panem – ona kupioną jego niewolnicą, co za pieniądze ramiona i łono obnaża i pod pozorem sztuki pozwala się kochać myślom lepkim i obrzydłym, i pod pozorem sztuki tajemnice wzruszeń swych na widok rzuca publiczny…

Jacek mimo woli wzniósł oczy na twarz bogini: niezmącona była, jak zawsze, dziwnie uśmiechnięta, oczekująca…

Naraz – chwila jedna ciszy głębokiej, i świątynia cała zatrzęsła się od grzmotu oklasków, ze wszech stron się zrywających, jak nawałnica. Woda pod rozchwianymi łodziami pluskać jęła i falować.

Aza skończyła śpiew i oparła się wyczerpana o kolana posągu Izydy. Dwie służące płaszcz na nią zarzuciły biały, a ona nie cofała się jeszcze, dziękując oczyma i usty[43] za oklaski obłędne, szalone, które ciągle, bez przerwy wznawiając się, biły. Ludzie krzyczeli jej imię bez końca, rzucając kwiaty pod jej nogi, tak że wkrótce stała jak gdyby w pływającym ogrodzie – władna, tryumfująca. Nad nią wznosiła się ciągle ręka bogini, gestem tajemnym próżno ciszę nakazująca…

W pewnej chwili Aza, jakby przypomniała sobie o czymś, poczęła szukać wśród tłumu oczyma – i nagle spojrzenie jej

---

[43] *oczyma i usty* – dziś forma N.lm: oczyma i ustami. [przypis edytorski]

skrzyżowało się ze wzrokiem Jacka. Uśmiech zaigrał jej na ustach przelotny; zwróciła oczy w inną stronę. Jacek widział, jak zbliżył się ku niej znany mu pan Benedykt, włóczący się za nią wszędzie po świecie. Mówiła coś doń, a potem rozmawiała jeszcze z innymi, co się wokół cisnęli – uśmiechnięta, zalotna razem[44] i królewska. Znać było, że upewniwszy się o jego obecności, umyślnie unika teraz jego wzroku…

Wpłynął między olbrzymie kolumny i przemykał się między nimi ku wyjściu. Gnębił go jakiś wstyd – drażniły go spojrzenia ludzi zdumionych, że ktoś opuszcza teatr właśnie teraz, kiedy Aza, skończywszy pierwszy numer programu, ma odtwarzać następnie postać Salambo, kreację swoją najsławniejszą, w której wykonuje naga taniec z wężami i drugi ze świętą zasłoną bogini…

Duszno mu było w ogromnej hali i ciasno. Chciał co prędzej wydostać się na przestwór, zobaczyć gwiazdy i roztocz wody, Księżycem jeno posrebrzoną.

Ścisk przed świątynią już ustał. Część łódek była wewnątrz, inne, nie znalazłszy miejsca, powróciły do miasta. Czekało tylko kilka parowców na tych, co w świątyni na galeriach się pomieścili. Jacek minął je i z wolna zwrócił się ku brzegowi. Nie chciało mu się skrzydeł rozpinać ani puszczać w ruch motoru, płynął więc z lekkim wiatrem od Arabii wiejącym, kołysany drobną, cicho pluszczącą falą.

Niedaleko brzegu zdawało mu się, że ktoś zawołał nań po

---

[44] *razem* – tu: zarazem, jednocześnie. [przypis edytorski]

imieniu. Obejrzał się zdumiony w tę stronę – pusto tam było i cicho, od miasta daleko, jeno w Księżycu trzy palmy wyniosłe rysowały na niebie smukłe swe kibicie. Już miał dalej popłynąć, gdy znów ów głos wołający go usłyszał, czy uczuł raczej…

Przybił do brzegu i wyskoczył na ląd. Pod palmami siedział człowieczek na wpół nagi, bo burnusem jeno zniszczonym odziany, z gołą głową, której długie czarne włosy na barki mu spadały. Trwał nieruchomy, z oczyma w gwiazdy zapatrzonymi, z zaplecionymi na piersiach rękoma.

Jacek nachylił się i spojrzał mu w twarz.

– Nyanatiloka!

Dziwny człowiek odwrócił z wolna głowę i uśmiechnął się przyjaźnie, nie okazując zdziwienia.

– Tak. To ja.

– Co tutaj robisz? Skąd się bierzesz? – wołał Jacek.

– Jestem. A ty?

Młody uczony nie odparł nic – czy nie chciał odpowiedzieć… Po chwili dopiero zagadnął znowu:

– Skąd wiesz, że ja tu jestem?

– Nie wiedziałem.

– Wołałeś na mnie. Dwukrotnie.

– Nie wołałem. Myślałem tylko o tobie w tej chwili.

– Słyszałem twój głos.

– Myśl moją słyszałeś.

– To jednak dziwne – szepnął Jacek.

Hindus uśmiechnął się.

– Czy więcej dziwne niż wszystko, co nas otacza? – rzekł.

Jacek usiadł w milczeniu na chłodnym piasku. Buddysta nie patrzył nań, ale on miał wrażenie mimo to, że go widzi, więcej nawet, że przegląda na wskroś jego myśli. Było to uczucie aż gnębiące. Poznał był niedawno tego niepojętego człowieka w jednej ze swoich częstych wędrówek i on, który posiadł całą wiedzę współczesną, on, który miał w rękach moc, jak mało kto na świecie, i z samotnej wieżycy swego ducha z pogardą mimowolną na ludzki tłum poglądał, czuł się dziwnie onieśmielonym w obecności tego wtajemniczonego pustelnika o duszy przepaścistej a prostej na pozór jak dusza dziecka. Ale równocześnie pociągało go coś ku niemu nieprzeparcie…

Od czasu pierwszego poznania spotykał go często i w sposób zgoła niewytłumaczony w różnych stronach świata. I dzisiaj to dziwne spotkanie nad Nilem…

Nyanatiloka uśmiechnął się i nie zwracając głowy, rzekł, jakby odczuł jego zdumienie:

– Przybyłeś tutaj samolotem, jak widzę?

– Tak.

– Dlaczego przybyłeś?

– Bo chciałem.

– Czemu się więc dziwisz, że ja tu jestem, gdy ja także mogłem chcieć?

– Tak, ale…

– Ja nie mam samolotu, myślisz?

– Tak.

– Czymże jest maszyna? Czyż nie środkiem tylko, za pomocą którego wola twoja wywołuje zmiany w położeniu twego ciała i w obrazach, które widzą twe oczy?

– Zapewne.

– Czy nie sądzisz, że wola może sprawić to samo bez sztucznych środków i zawiłych?

Uczony skłonił głowę.

– Wszystko, co wiem, kazałoby mi powiedzieć: „nie!”, a jednak, odkąd poznałem ciebie i tobie podobnych…

– Dlaczego nie chcesz sam spróbować siły swojej woli bezpośrednio?

– Nie wiem, jakie są jej granice.

– Nie ma granic.

Milczeli przez pewien czas obaj, patrząc na Księżyc płynący w górę i coraz jaśniejszy. Po chwili Jacek ozwał się znowu:

– Widziałem już dziwne rzeczy, które robiłeś. Przewracałeś oczyma czarę pełną wody i przechodziłeś przez drzwi zamknięte… Jeśli potęga woli nie ma granic, powiedz, czy mógłbyś tak samo ten Księżyc na niebie w inną pchnąć drogę lub przebyć bez ochrony i środków pomocniczych przestrzeń, która nas od niego dzieli?

– Tak – odpowiedział Hindus spokojnie, ze zwykłym na ustach uśmiechem.

– Więc czemu tego nie robisz?

Nyanatiloka zamiast odpowiedzi zapytał Jacka z kolei:

– Nad czym pracujesz teraz?

Uczony ściągnął brwi.

– Mam w swej pracowni wynalazek przedziwny i straszny. Zabijam to skupienie sił, które nazywają materią. Znalazłem prąd, który przepuszczany przez jakiekolwiek ciało rozluźnia jego atomy na pierwotne ich części składowe i unicestwia je po prostu…

– Robiłeś próby?

– Tak. Z niesłychanie drobnymi cząstkami miligrama. Taki pyłek, rozluźniając się, powoduje wybuch, jak garść spalonego dynamitu…

– Ale z tą samą łatwością mógłbyś zmusić do rozluźnienia się większe masy? Wysadzić i unicestwić dom, miasto, ląd?

– Tak. To jest przedziwne właśnie, że z tą samą zupełnie łatwością. Dość by mi było przepuścić prąd ów…

– Dlaczego tego nie robisz?

Jacek powstał i przechadzał się jakiś czas pod palmami.

– Pytaniem mi na pytanie odpowiadasz, ale to nie jest to samo – rzekł. – Ja szkodę bym tym sprowadził, zniszczenie…

– A ja – odparł Nyanatiloka – nie sprowadziłbym zamieszania we wszechświecie, który snadź[45] musi być takim, jak jest, gdybym rzucał gwiazdy na inne drogi?

– Wiem ja – ozwał się znowu po chwili – wy się śmiejecie z wyzwolonych, że robią jeno sztuczki drobne i zabawne… Nie przecz! Jeśli ty się nie śmiejesz, to śmieje się wielu innych uczonych zarówno z tego, jak i z ćwiczeń naszych w ruchach

---

[45] *snadź* (daw.) – widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

i oddychaniu, żmudnych i długich a dziecinnych na pozór… A jednak trzeba zapanować nad sobą, trzeba się dowiedzieć o woli swojej. Te ćwiczenia, te posty, to zaparcie się i osamotnienie wiodą właśnie do tego. A gdy wola się już oswobodziła i moc swą skupiać umie, czyż nie wszystko jedno, w czym się objawia?

– Sądzę, że nie. Moglibyście działać na pożytek…

– Czyj? Tylko człowiek sam na swój pożytek działać może. Pożytkiem człowieka jest oczyszczenie duszy. Wola wyzwolona innego pożytku nie widzi ani nie dąży ku innemu celowi. Jakże chcesz, abym sprawiał rzeczy, które mi są obojętne i może wikłałyby mnie na powrót w grube formy życia, z których się właśnie wybiłem?

– Wszystko jest dziwne, co nas otacza – rzekł Jacek po pewnym czasie – dziwniejsze, niżby się śnić nawet mogło ludziom w głąb niepatrzącym. A jednak mam wrażenie, że najdziwniejsze ze wszystkiego, o czym wiem, są właśnie te rzeczy, które ty czynisz.

– Dlaczego?

– Nie wiem, jak je czynisz.

– A wiesz, w jaki sposób poruszasz ręką lub co się dzieje, gdy kamień z dłoni upuszczony spada na ziemię? Zbyt mądrym jesteś, abyś mi odpowiedział słowem nic nieznaczącym, które nową niewiadomość w sobie kryje.

Młody uczony milczał zadumany, a Hindus prawił tymczasem dalej.

– Wytłumacz mi, jak to się dzieje, że wola twoja podnosi

powiekę twego oka, a ja ci wytłumaczę, jak gwiazdy wolą poruszać. Równy cud i równa tajemnica jest obojga. Wola jest większa niźli wiadomość, ale ciału jest poddana, a to są jej zwykłe granice. Musi się odważyć wyjść poza ciało, musi nie chcieć niczego dla ciała, a wtedy bytem całym zawładnie, bo już nie będzie dla niej różnicy między „ja” a „nie ja”.

– I wtedy nie ma granic?

– Nie może ich być. Są granice dla ruchów, dla pożądań, dla poznania wreszcie, dla woli ich być nie może, bo w samym zaczątku swoim przez ten sam fakt, że stoi nad ciałem, stoi nad formą wszelką i wszelkim bytowaniem… Wszak to wasz poeta przed wiekami powiedział:

> „Czuję, że gdybym mą wolę
> Ścisnął, natężył i razem wyświecił,
> Może bym sto gwiazd zgasił i drugie sto wzniecił!”.

I miał słuszność. Jeno ten wyraz „może” był niepotrzebny. To było wątpienie i dlatego upadł.

Jacek patrzył nań zdumiony.

– Skąd ty znasz naszych poetów?

Pustelnik milczał przez pewien czas.

– Nie zawsze byłem „bikhu” jak teraz – rzekł wreszcie z pewnym wahaniem.

– Ty nie jesteś Hindusem z krwi?

– Nie.

– A imię twoje?

– Przyjąłem je później, Nyanatiloka, Trójświatowiedny, gdym poznał tajemnicę trzech światów: materii, formy i ducha…

Zamilkł – i Jacek nie pytał już o nic, widząc, że pustelnik niechętnie odpowiada. Usiadł był znowu na trawie pod pniem palmowym i patrzył po toni, kędy w oddali błyskały nikłe światełka łodzi i jarzyła się między olbrzymimi pylonami brama świątyni, z dala do czeluści gorejącego pieca podobna…

Naraz – jakby się ocknął z zadumania, wzniósł głowę i spojrzał bystro w oczy Trójświatowiednemu.

– Dlaczego ty mnie szukasz? – zagadnął znienacka.

Bikhu zwrócił nań z wolna jasne, szeroko rozwarte oczy.

– Żal mi cię – rzekł. – Czysty jesteś, a z trzęsawiska materii wyzwolić się nie możesz, choć wiesz już sam, że jest ona złudzeniem i mniej nawet niż wyrazem tylko.

– Cóż mi ty pomożesz… – szepnął Jacek, głowę spuszczając.

– Czyham na chwilę, kiedy zapragniesz iść ze mną w puszczę…

Jacek miał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili zajął go ruch na wodzie i z dala dochodzące głosy. Zaroiły się światełka i zakotłowały przed bramą starej świątyni, i powoli układały się w długi łańcuch ciągnący ku brzegowi – do miasta.

Okrzyki biły w cichym nocnym powietrzu, nawoływanie przewoźników i śmiechy jakieś kobiece, toczące się jak perły po szklanej tafli sztucznego jeziora. Przedstawienie snadź było skończone.

Jacek zwrócił się do buddysty żywo, nie mogąc ukryć

nerwowego pomieszania.

– Nie, na puszczę… nie pójdę – rzekł – ale chciałem cię prosić, abyś mnie odwiedził w Warszawie.

Nyanatiloka cofnął się był o krok i patrzył nań z łagodnym uśmiechem w oczach.

– Przyjdę.

– Obawiam się tylko – uśmiechnął się Jacek – że obco ci będzie, przywykłemu do samotności, słyszeć gwar życia…

– Nie. To obojętne. Dzisiaj już potrafię samotnym być w tłumie, tak jak ty nie zdołasz jeszcze być samotnym nawet wtedy, gdy jesteś sam.

Mówiąc to, skinął głową z lekka i zgubił się w cieniu palm na wybrzeżu.

Orszak tryumfalny Azy zbliżał się coraz bardziej; Jackowi zdało się nawet, że głos jej słyszy srebrzysty.

VII

Klatka, na grzbiecie osła umieszczona, była wprawdzie dość obszerna jak na dwóch ludzi tego wzrostu, ale siedzieć w niej nie było na czym. Były tam dwie huśtawki, u górnej kraty uwieszone, ale zarówno Roda, jak i Mataret uważali za rzecz nieprzystojną korzystać z tego śmiesznego urządzenia.

Chwiejny chód osła nie pozwolił im zaś stać, siadali więc z konieczności na dnie palmową wyłożonym matą, unikając o ile możności wzajem swego wzroku.

Wstyd i rozpacz odbierały im wprost ochotę do życia. Nie wiedzieli zgoła, co się z nimi dzieje. Złośliwi wielcy ludzie ziemscy uwięzili ich w klatce, jak nierozumne zwierzęta – ich, dumę niegdyś i ozdobę wielce czcigodnego Bractwa Prawdy na Księżycu, i obwożą ich teraz po ludnych placach nie wiadomo dlaczego i w jakim celu. Nadto dodano im trzeciego towarzysza, co do którego nie umieli sobie jasno zdać sprawy, czy jest zwierzęciem, czy też człowiekiem. Wzrostu był mniej więcej tego, co oni, twarzy cokolwiek ludzkiej, ale miał ciało włosem porosłe i drugą parę rąk tam, gdzie zwykle bywają nogi.

Ten towarzysz czuł się zupełnie zadowolonym ze swego losu w klatce i zabrał nawet na wyłączną własność obie huśtawki, przeskakując ustawicznie z jednej na drugą. Roda próbował się z nim porozumieć, zrazu mową i na migi, on jednakowoż słów wysłuchał, grymasy czyniąc nieprzystojne, a w końcu

skoczył mędrcowi na kark i począł gwałtownie grzebać w jego rozwichrzonej czuprynie.

Uznali go tedy za istotę zwierzęcego rodzaju mimo pewnego do człowieka podobieństwa. To towarzystwo jednak jeszcze więcej ich upokarzało, zwłaszcza że zmuszeni byli, by nie cierpieć głodu, jeść z jednej misy z tym przedziwnym potworkiem.

Około południa nareszcie, po długim milczeniu, Mataret zagadnął mistrza, poglądając mu ukradkiem w oczy:

– I cóż? Ziemia jest zamieszkana?!

Roda pochylił głowę.

– Nie czas na kpiny. W każdym razie wszystkiemu ty jesteś winien, bo przez ciebie tutaj jesteśmy.

– Nie wiem… Gdybyś się ty nie był upierał przy swoim zdaniu, że Zwycięzca nie z Ziemi pochodzi…

– To jeszcze nie jest pewne – bąknął mistrz, aby resztki honoru salwować[46].

Mataret roześmiał się gorzko.

– Mniejsza z tym – rzekł po chwili. – Omyliłeś się czy omyliliśmy się obaj, mniejsza z tym. Chwilami gotów jestem ja sam przypuszczać jeszcze, że chyba skądinąd Zwycięzca przybył na Księżyc, bo przecież jest człowiekiem rozumnym, a z tymi dogadać się nie można. Za co oni nas mają?

– Bo ja wiem?

– A ja sądzę, że się domyślam. Uważają nas po prostu za

---

[46] *salwować* (z łac.) – ratować. [przypis edytorski]

zwierzęta czy co… Wszak widzisz sam, jak się nam przyglądają.

Roda chodził po klatce na grzbiecie osła, rzeczywiście, jak mały lewek uwięziony, bujną grzywą potrząsając. Gniew, rozpacz, wstyd, oburzenie dławiły go tak, że słowa nie mógł ze siebie wydobyć. A Mataret szydził, jak gdyby się znęcać chciał nad nim.

– Spróbuj skoczyć na huśtawkę – mówił – i wywiń koziołka, jak ten zwierzak kosmaty; zobaczysz, jak się ci ludzie ucieszą! Wszak oni na to czekają. Jeśli jeszcze zaryczysz pięknie i język wystawisz, gotowi ci dać garść owoców, które by się naprawdę przydały, bo głodni jesteśmy. To bydlę czterorękie zjadło wszystko, co tu było.

Roda nagle przystanął.

– A wiesz ty, mnie się zdaje…

Urwał.

– Co takiego?

– Może oni nas… karzą? Może oni się domyślają, żeśmy wóz Zwycięzcy ukradli? Wszak mogli go znaleźć tam, w piasku…

Mataret zmarszczył brwi.

– Tak, to byłoby najgorsze. Wtedy nie mielibyśmy już nadziei…

– A przecież ty jesteś winien temu, jak zawsze – ty! Po co dawałeś tym ludziom do zrozumienia, żeśmy przybyli z Księżyca? Trzeba było udać…

– Co udać? Co?!

– O, Ziemskie Potęgi! – jęknął Roda, z dziecięcego jeszcze

nawyku wzywając mocy, wśród ludu na Księżycu za boską uważanej – cóż my teraz poczniemy?

Mataret ruszył ramionami; rzeczywiście nie miał pojęcia, jak wyjść z tego nad wyraz okropnego położenia.

Stali obaj zadumani i zatroskani. Małpa, towarzysząca im w klatce, zbliżyła się także, starając się postawę ich naśladować. Ale ta nieruchomość dziwotworów znudziła któregoś z widzów, więc rzucił w nos Rodzie pestkę daktyla, a gdy to nie pomogło, począł go łaskotać kawałkiem trzciny i kłuć przeważnie tam, gdzie małpy prawdziwe zwykle ogon miewają.

Hafid pozwalał na takie poufałości jedynie tym, którzy osobno za to płacili, a że tym razem był to chłopak, za grosz jeden mieszkańcom klatki się przypatrujący, więc wpadł w gniew i napastnika kawałkiem powroza przegonił.

W ogóle Arab nie był dzisiaj w dobrym humorze. Interes wprawdzie szedł doskonale i w pół dnia wróciły mu się nie tylko pieniądze na kupno klatki i wynajęcie osła wydane, ale nadto napchane miał dobrze obie kieszenie. Z tej strony tedy nie było powodu do zmartwień. Chodziło o co innego.

Hafid miał wrodzony i nieprzezwyciężony wstręt do obcowania z władzami i w ogóle z istotami rodzaju ludzkiego, przedstawiającymi porządek publiczny, a niejasne przeczucie mówiło mu, że wcześniej czy później zawezwą go i poczną rozpytywać, skąd przyszedł do posiadania krasnoludków i jakim prawem je w mieście pokazuje. O tym nie myślał był z góry, a teraz czuł już, że coś niedobrego się święci. Przyjaciel jego,

przewoźnik, człek bardzo rozumny, pokręcił był głową dziś rano, gdy się on na targ wybierał, a policjant, stojący zwykle na rogu placu, coś nazbyt długo patrzył w jego stronę.

Ostatecznie więc Hafid chciał się pozbyć zdobyczy i kłopotu jak najprędzej, to znaczy sprzedać obu karlików, ale jak na złość kupiec się nie trafiał. W dzielnicy, po której się z klatką włóczył, mieszkali ludzie sami nie mający do zbytku na swe potrzeby, a w sąsiedztwo wielkich i lśniących hoteli, gdzie przesiadują cudzoziemcy bogaci, Hafid jakoś nie śmiał się zapuszczać.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, купив полную легальную версию на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.